

VariArt

pismo
kulturalno-literackie
02/2012



www.wbp.olsztyn.pl

ISSN 2080-1483



Anna Rau
FOTOMONTER XIV

Północna Grenlandia, rejon Qaanaaq

- Po co komu okna w domu – wydziwiała nie wiadomo po raz który Niviaq, szurając sztywnymi kartami zdjęć. Oglądała je niemal codziennie. Były ich setki, więc rytuał trochę trwał.

Aqqału odpowiedział – jak od lat – beznamiętnie:

- Może lubią, reniferku.

- A pamiętasz, jak byliśmy w Pulant? Jak było gorąco. Gorąco!!! Te dziwaczne domy z cegły, z mnóstwem dziur zamiast gładkich ścian. Te kobiety – takie brzydkie, wielkie – i całe ro-ze-bra-ne!!! Ten ich język! Ale ty to tylko niedźwiedzi szukałeś! Mięsa z niedźwiedzia! Pieczeni z niedźwiedzia! Widoku łapy niedźwiedzia! A ja tak chciałam sobie kupić nowe futro...

- Masz futro, piżmowołku.

- Z niedźwiedzia!!! Na świecie jest tyle futer... Ale czy ciebie to interesuje? Nie! – ty niedźwiedzie mięso lubisz i nic więcej! Wprost nie odrywasz się od niedźwiedziego mięsa!... Śniesz z nim! – słyszę, jak gadasz przez sen. O, tak gadasz: „Mięęęsooo. Moje mięęęsooo”. Kiedyś to...

- Lubię też foki, gronostajku.

- Foki! Foki!!! Ale na co polujesz? Na niedźwiedzie!!! Gdyby nie ja i mój brat w okolicy, jedlibyśmy tylko niedźwiedzie. A z drugiej strony, co cię znowu na te niedźwiedzie tak wzięło? Dobrze się czujesz? Od pewnego czasu zaczęłeś tak dziwnie wyglądać – dawniej byłeś inny. Przynosiłeś mi kościane naszyjniki i pytałeś, czy dobrze wstałam. Piliśmy razem tran z jednego kubka. Wygrzebywałeś porosty spod śniegu i przynosiłeś mi bukiety do wazonu. Teraz mogę niedźwiedzie mięso wsadzić do wazonu!..

- Jeśli chcesz, morsiku.

Niviaq i Aqqału mieszkają od urodzenia w Grenlandii i są małżeństwem od 15 lat. Ich dom jest zachwycająco piękny i stanowi przedmiot zazdrości wszystkich najbliższych sąsiadów w okolicy (100 kilometrów). Okrągły, idealnie wyciosany, lśniący biały. Niewidzialny na lodowej równinie. Aqqału zajmuje się utrzymaniem domu, a Niviaq samym obejściem, ale uwielbia też konkursy – i dzięki jednemu z takich właśnie konkursów wygrała wycieczkę do Pulant. A dokładnie do Olsztyn. Nie wiedziała dokładnie, gdzie to jest, ale i tak się ucieszyła. Termin wycieczki był bardzo atrakcyjny,



Wieżowce przy ul. Zwycięstwa (obecna Piłsudskiego) – l. 70-80. XX w.
 Fot. ze zbiorów R. Sternika w zasobie dżs WBP w Olsztynie

w miesiącu styczniu, gdyż to – jak jej powiedziano w biurze podróży – najpiękniejszy czas w Pulant dla Eskimosów. Po przyjeździe okazało się, że Olsztyn to duże ciepłe miasto, w dużym bardzo ciepłym kraju, na dużym, bardzo, bardzo ciepłym kontynencie.

Aqqału już po wszystkim podsumował sobie, że całość wyprawy to był jeden upalny koszmar. Przygotowania były koszmarem. Podróż była koszmarem. A miasto... dziwne. Ludzie prawie nadszy – w jakichś marnych cienkich paletkach i jeszcze cieńszych namiastkach butów. Wszędzie wystające z gruntu wielkie walce – pnie drzew. Ruszająca się rzeka – żadnego lodu. Setki samochodów sunących ulicami tam i z powrotem. Mnóstwo słońca – osiem godzin światła zimową porą to jakieś szaleństwo klimatyczne! No i Niviaq ze swoim aparatem fotograficznym!!! Tak naprawdę to zainteresowały go tylko ptaki. Okrągłe fruujące kulki z łebkami obracającymi się niemal wokół własnej osi. Gołębie. Sikorki. Gile. Kaczki... Aqqału godzinami więc siedział w tzw. parku, grzał się w upale i karmił ptaki. Rozdawał im w ten sposób wszystkie swoje posiłki. I tak nie było czego żałować – nigdzie nie podano mu ani kawałka niedźwiedziego mięsa.

¹ „Polska” w języku inuktitut.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Iwona Bolińska-Walendzik, Przemek Kozak, skład: Sylwia Białecka

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
 Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

02

Fotomonter XIV

04

Wywiad z Marcinem Ciszewskim

07

Felieton

08

Recenzja literacka

10

Poezja → Krzysztof D. Szatravski

11

Recenzja literacka

12

Rzeźnia literacka II

→ Krzysztof Kapinos

→ Konrad Sierzputowski

→ Marcin Makowski

→ Wojciech Borkowski

16

Galeria VariArt-u

Jarosław Puczel

18

Wywiad z Bernadettą Darską

21

Doppel-U w Olsztynie

22

Kabaret → Archiwum Y

24

Galeria Bakałarz

26

Proza → Katarzyna Enerlich

28

Esej → Waldemar Tychek

30

Szkice z obrazkiem

Ignacy Borejko nie chciał iść na ekranizację powieści Ogniem i mieczem, bo mówił, że to komercja, ale ostatecznie poszedł. Tak więc Redakcja „VariArt” poszła w komercję i zajęła się popem. Cokolwiek to znaczy. Pop to wzorki, szablony, historyjki, trochę instynktów, kryminały, horrory, fantastyka i komiks.

Wyszło kryminalnie: wywiady z Marcinem Ciszewskim i Bernadettą Darską oraz recenzja nowej książki Krzysztofa Beśki. Wyszło kabaretowo: Waldemar Tychek odkrywa tajemnice Archiwum Y. Wyszło komiksowo – całość ilustruje Jarosław Gach. Horror i fantastykę przybliżają felietony oraz eseje.

W pop-morzu widać jednak wysepki klasyczne i awangardy, czyli poezję Krzysztofa Dariusza Szatravskiego, „Szkice z obrazkiem” Dariusza Szymanowskiego, Rzeźnię Literacką i relację z koncertu Doppel-U. Galeryjki-złote rybki wśród fal – Jarosław Puczel i Bakałarz.

Prawdę na temat współczesnej kultury odślania Karnet Kulturalny z ostatniej strony.

Wyszło pooooop.

Zapraszamy do lektury!

Redakcja

POLSKA W ĆWIERĆFINALE EURO 2012!

Z Marcinem Ciszewskim – autorem książki *Upał*
o zamachu podczas Mistrzostw Europy EURO 2012
– rozmawia Ewa Zdrojkowska

Ewa Zdrojkowska: Czy jest Pan kibicem?

Marcin Ciszewski: Tak, jestem. Mniej interesuje mnie piłka ligowa, natomiast lubię ligę mistrzów albo futbol naszej reprezentacji. Jest u mnie w domu taka tradycja, że jak są mistrzostwa Europy czy mistrzostwa świata, to ogląda się wszystkie mecze.

E. Z.: A nasze spotkanie odbywa się w Ogrodzie Literatury, który jest częścią projektu „Olsztyn bez futbolu”.

M. C.: Dlatego ja trochę nie wiem, czy jestem tak do końca na właściwym miejscu. *Upał* dotyczy mistrzostw Europy w piłce nożnej w pewnym sensie, bo te mistrzostwa są dekoracjami do przeżyć i przygód, które spotykają bohaterów. Ale kilka moich książek jest na inny temat. W związku z tym możemy porozmawiać o nich.

E. Z.: Będziemy rozmawiać o najnowszej, czyli o *Upale*. Ale przyjmuję Pana propozycję, dlatego zacznijmy rozmowę od pytania o książki zawierające elementy fantastyki, powstałe na kanwie historii.

M. C.: Historii drugiej wojny światowej i tego, co się w Polsce w tym czasie działo. A ten fantastyczny element polega na tym, że batalion Wojska Polskiego przenosi się w czasy drugiej wojny. Powstał czterotomowy cykl przygodowo-sensacyjny, gdzie jest dużo batalistyki i pobrzmiwające pytanie: „Co my byśmy zrobili, gdyby nam było dane przenieść się w tamte czasy”.

E. Z.: Jest Pan historykiem z wykształcenia, ale jednocześnie, jak się domyślam, historia była obecna w rozmowach u Pana w domu, bowiem pańskim ojczymem jest Cezary Chlebowski, pisarz i publicysta, historyk, autor książek i szkiców poświęconych mało znanym wydarzeniom z dziejów polskiego państwa podziemnego w czasie drugiej wojny światowej.

M. C.: To on właśnie wzbudził moje zainteresowanie historią. Obracał się w środowisku historyków i również byłych żołnierzy AK. U mnie w domu bywali m.in. Jan Nowak-Jeziorański, prof. Jan Karski, Tadeusz Żenczykowski. To była ta inspiracja pierwsza, która spowodowała, że poszedłem na studia historyczne. Był 1982 rok, sam środek stanu wojennego, wtedy w Polsce jakiegoś wielkiego wyboru dla człowieka z inteligenckiego domu nie było i studia historyczne wydawały mi się dobrym pomysłem. Po skończeniu studiów, przez dwadzieścia lat pracowałem w zupełnie innej branży, a to moje pisanie odezwało się parę lat temu, kiedy okazało się, że mam ochotę i pewne argumenty – argumenty warsztatowe – za tym, żeby zacząć pisać. Pewne

sprawy miałem przemyślane, wiedziałem też, gdzie i czego szukać, bo studia historyczne dają między innymi umiejętność dotarcia do odpowiednich materiałów, źródeł i opracowań. Niewątpliwie więc warsztat historyczny się przydał – choć w przypadku moich książek nie jest to historia ani *sensu stricte*, ani w zasadzie w ogóle. Mam jednak sygnały od kilku naprawdę poważnych historyków z tytułami profesorskimi, którym to moje pisanie się podoba. Mogę się pochwalić, że mam też szereg sygnałów od czytelników, którzy dotąd nie interesowali się historią, a po lekturze moich książek zaczęli czytać, np. na temat Powstania Warszawskiego, już poważniejsze rzeczy. To jest dla mnie ogromny komplement. Udało mi się w tym cyklu wojennym poruszyć pewną strunę, o istnieniu której początkowo nie miałem pojęcia, nie wiedziałem, że w nią będę trafiał. To jest nasze poczucie krzywdy, powstałe w wyniku wojny. Myśmy *per saldo* wojnę przegrali, wpadliśmy na pięćdziesiąt lat w objęcia Wielkiego Brata ze Wschodu, a miały też miejsce takie fakty, że np. jako jedyne państwo koalicji antyhitlerowskiej nie brałszy udziału w defiladzie w Londynie tuż po wojnie. Były tam jednostki z Samoa, Fidzi, natomiast Polska nie była reprezentowana, chociaż była, co do liczebności, czwartą armią sojuszniczą na świecie. Są to gorzkie pigułki i ta moja opowieść o tym, że można by spróbować zmienić to, spotkała się z ogromnym zainteresowaniem także i z tego względu. Oprócz tego udało mi się wykreować bohaterów, którzy dają się lubić.

E. Z.: Pan z pewnością też ich lubi, skoro pojawiają się w kolejnych książkach. Jakub Tyszkiewicz, bohater *Upału*, to postać znana już czytelnikom.

M. C.: Tak, dlatego, że to jest kontynuacja książki *Mróz*, której fabuła dzieje się pół roku przed wydarzeniami na Euro i która to książka ukazała się ponad rok temu. Nadkomisarz Tyszkiewicz (podinspektor już w tej chwili) zagrał w książce www.ru2012.pl, czyli ostatnim tomie tego cyklu wojenno-historycznego, natomiast w *Upale*, przedstawiony jest dość zawiły epizod z jego życia. Od razu mogę powiedzieć, że są planowane jeszcze dwie opowieści na ten temat, tzn. prequel *Mrozu* i następnie historia, która się będzie działa po *Upale* i która będzie domykała cykl.

E. Z.: Akcja *Upału* zaczyna się od zdarzenia, które mogłoby wprowadzić w euforię wszystkich kibiców. Co ja mówię – euforię, w narodową histerię! Polska reprezentacja zwycięża i wychodzi z grupy. W ćwierćfinałach mistrzostw Europy Polska ma grać



Fot. Małgorzata Sieniewicz

z Niemcami. Można powiedzieć, że książkę napisał Pan na zamówienie. Wiadomo, że zarówno przed mistrzostwami, jak i w czasie rozgrywek, jest doskonały czas, by o niej mówić, interesować nią czytelników.

M. C.: Taki był zamysł, przy czym moim wytłumaczeniem, że to nie chwyt cynicznie koniunkturalny, jest to, że książka stanowi drugi tom przygód pewnych postaci literackich. I akurat tak się złożyło, że ci bohaterowie właśnie są odpowiedzialni za zabezpieczenie antyterrorystyczne całej imprezy i wiedzą, że w czasie meczu Polska-Niemcy ma coś się wydarzyć. Chodziło mi o to, żeby wytworzyć pewne ciśnienie, wynikające z ogromnych oczekiwań. Wyobraża sobie Pani, co by było, gdyby Polska rzeczywiście wyszła z grupy i byłby ten finał z Niemcami? Gigantyczne powiewanie sztandarami, gigantyczna euforia, na stadionie pani kanclerz (nawet wczoraj przyleciała do Gdańska spotkać się z reprezentacją Niemiec), na pewno pan premier, prezydent i wszyscy święci. Chodzi o to, że nie ma lepszych dekoracji do tego, by – że tak powiem – podnieść temperaturę. Spowodować, że ci moi główni bohaterowie, którzy mają pewne informacje o tym, jak sytuacja będzie wyglądać, mogą próbować odwołać ten mecz:

wpłynąć na premiera, na UEFA, ale się nie udało, i mecz miał się odbyć. Wszyscy moi eksperci zgodnie stwierdzili, że tak by naprawdę było. Zbyt wielkie pieniądze zostały w imprezę zaangażowane i zbyt wielki to medialny spektakl, żeby go odwoływać. To trochę jak w 1972 roku podczas olimpiady w Monachium, gdzie miał miejsce atak terrorystów z „Czarnego Września” na reprezentację izraelską. Impreza też nie została przerwana, po prostu wszystko odbywało się dalej.

E. Z.: Fabuły nie będziemy zdradzać, ale porozmawiajmy o ekspertach od antyterroryzmu.

M. C.: *Upał* jako moja szósta książka najmocniej trzyma się realiów. Poświęciłem naprawdę kilkadziesiąt godzin na rozmowy z ludźmi, którym zresztą dziękuję na końcu książki, o tym, co to jest terrorizm, jak się go zwalcza, jakimi środkami dysponują polskie służby specjalne. Potem przedstawiłem moim ekspertom tę fabułę i pomysły na rozmaite zwroty akcji. Ja nie twierdzę, że to jest super prawdopodobne i że możliwe są te scenariusze zamachów. Już chociażby z tego powodu, że taka struktura jak Biuro Zabezpieczenia Terroryzmu CBS nie istnieje. Ja je powołałem do życia na taki troszkę amerykański sposób. To znaczy, ono jest bardzo mocno wyposażone i zaopatrzone

w najnowocześniejszą technikę *know-how*. A jednocześnie ta biurokratyczna machina nie do końca się daje we znaki, chociaż trochę się daje... Generalnie chodziło mi o to, żeby to była fantazja, ale jednak oparta na realiach.

E. Z.: W pańskiej książce pojawia się też stereotyp. Terrorysta to Pakistańczyk, z dużym prawdopodobieństwem wyznawca islamu.

M. C.: Oczywiście, tak. Ale oni nie występują tam jako „demoniczna siła”. Tych intryg zresztą jest kilka, więc tam też fabuła skręca. Natomiast co do terrorystów – ja się nie chciałem wdawać w całą tę ideologię, w rozważania, czy oni mają rację, czy nie, kim są, i tak dalej... Chodziło tylko o to, że jest pewne zagrożenie, całkowicie realne, i trzeba pokazać tych naszych ludzi, którzy borykają się z takimi problemami.

E. Z.: W *Upale* CBS konkuruje z ABW, jak w amerykańskich sensacyjnych powieściach i filmach FBI z policją.

M. C.: Wszystkie opinie, z którymi się spotkałem, mówią, że ta rywalizacja rzeczywiście istnieje. Potem te opinie podzieliły się na dwie grupy. Według pierwszej jednak trochę przesadzam, a według drugiej – to, co napisałem, to jest „przedszkole”, a z pewnością może być znacznie gorzej. Oczywiście, ja sobie pozwoliłem z ABW zrobić takiego „złego luda” i na jej czele postawiłem dwóch socjopatów. Pewnie tak nie jest, mam nadzieję przynajmniej... Natomiast jeżeli chodzi o rywalizację, zatrzymywanie pewnych informacji czy też prowadzenie pewnych operacji, które są tak tajne, że sąsiednie

służby nawet ich zarysów nie znają, więc, nie wiedząc, wchodzą sobie do „ogródków” – to jest na porządku dziennym w Polsce. Zresztą nie tylko w Polsce. Tajne służby mają to do siebie, że są tajne, więc nie dają ogłoszeń w prasie na temat swoich operacji. Czasami też tak jest, że jedna służba aresztuje jakichś ludzi i okazuje się, że to agenci innej służby, działający pod przykryciem w jakiejś organizacji przestępczej. W Polsce do tego jeszcze dochodzi problem organizacyjny. Mianowicie, ABW nie podlega ministrowi spraw wewnętrznych, tylko bezpośrednio premierowi. W związku z tym jedynym ogniwem, przez które policja może się dogadać z ABW, jest właśnie premier. To nie może działać idealnie, bo premier ma też inne zadania (abstrahując od osoby obecnego premiera, chodzi o pewną instytucję), a nie tylko koordynację pracy policji i ABW.

E. Z.: Wiedzę o strukturach Pan opanował.

M. C.: Zawsze staram się odrabiać pracę domową, jeśli chodzi o pisanie książek. Tych rozmów rzeczywiście było sporo i uzyskałem informacje, których nie da się wyczytać w Internecie. Techniki przesłuchań na przykład. Musiałem dotrzeć do ludzi, którzy potrafią to robić i to robią...

E. Z.: Zrezygnujmy ze szczegółów... Dziękuję za rozmowę.

16 czerwca 2012 r.



R'ija.
Rys. Jarosław Gach

Szymon Kolender

Nie warto czytać „literatury ambitnej”

Jestem człowiekiem z natury leniwym i nienawidzę, jak autor pastwi się nade mną jakimiś wyszukаныmi książkami. Np. taka *Gra w klasy* – toż to totalny chłam, gdzie z trudem daje się przebrnąć przez każde kolejne zdanie. Rozumiem, że autor chce udowodnić, iż wielkim intelektualistą jest, tylko po co marnować aż tyle papieru?... Ogólnie uważam, że dzieła wybitne to marnowanie życia na bezproduktywne rozważania dobre dla masochistów. Jak ktoś chce to czytać, to chylę czoła i gratuluję samozaparcia, ale ja zwyczajnie za głupi na to jestem.

Uważam, że powieść powinna być mimo wszystko „historią” – z początkiem, środkiem i końcem, który to porządek już z grubsza rozumie choćby trzyletnie dziecko (jak ktoś nie wierzy, niech poczyta na temat myślenia narracyjnego). Reszta to już nie powieść, a raczej jakiś rozciągnięty esej. Psychika ludzka jest po prostu do takiej formy przekazu stworzona. Dlatego też lubię fantastykę i w ogóle tzw. literaturę popularną, gdyż to jest po prostu pisane dla ludzi! Prócz tego nie tylko zawiera ciekawe i wartościowe treści, lecz i porusza tzw. poważne tematy związane z naturą ludzką. Oczywiście tak jak w każdym innym gatunku literackim jest tam miejsce na „dzieła” lepsze i gorsze (to samo zresztą można powiedzieć o malarstwie, rzeźbie, muzyce czy o wypieku chleba...). Jedni piszą interesująco, inni słabiej. Nie można też – to już apel do pisarzy – mieć pretensje o to, że ktoś jest przez czytelników lubiany bardziej od innych, niby przedstawicieli literatury wybitnej. Co dziwne, wielu z tych drugich prezentuje taką postawę, wręcz stosując ostracyzm wobec niektórych twórców literatury (kultury) masowej, czy próbując ją samą pomniejszać. Zastanawiające jest, że ci „masowi” nie mają takich kompleksów (a może, jeśli je mają, to je leczą kasą ze sprzedaży? :). Samo twórczenie takich określeń jak „literatura wyższa/nieższa” bierze się raczej ze snobizmu zwolenników tej pierwszej. Przykładem tego jest choćby *Ullisess* Joyce’a, książka oficjalnie uznana za arcydzieło, przy czym przeczytało ją tak mało osób, że nikt nie jest w stanie określić, jaka jest w rzeczywistości... Jedyne, co można powiedzieć o fabule, to że jest jak cytaty z *Rejsu* – „Bardzo niedobre dialogi są. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje”.

Z kolei co do literatury popularnej... Czy podział na „popularną” i... „niepopularną” (?) jest możliwy do przeprowadzenia? Jakie są tego kryteria? Jeśli za takie przyjmujemy np. liczbę kupowanych książek, to najbardziej popularną książką na świecie będzie *Biblia* z 3,9 miliardami sprzedanych egzemplarzy, a drugą w kolejności *Cytaty Przewodniczącego Mao* z 840 milionami!

Fantastyka jest gatunkiem literackim o bardzo głębokich korzeniach, sięgających czasów najdawniejszych, czyli jeszcze neolitu.

Wtedy to wśród różnych plemion powstawały załężki pierwszych mitów, eposów. Próbowano w ten sposób tłumaczyć zjawiska meteorologiczne, powtarzalność pór roku, a także opisywano ważne i doniosłe wydarzenia. Takim np. był słynny potop, którego mit wiąże się z rozlaniem słodkowodnego jeziora położonego w miejscu obecnego Morza Czarnego, kiedy to poziom wody podniósł się w krótkim czasie o jakieś 150 metrów, a miejscowa ludność musiała to sobie jakoś wytłumaczyć... Wracając – ogólnie chcę określić fantastykę jako opowieści o bohaterach i nadnaturalnych zdarzeniach, przy czym historie tego typu towarzyszyły człowiekowi od zawsze. Współcześnie mówiąc „fantastyka”, mamy na myśli książki w stylu *science fiction* (kosmici, roboty, broń, gwiazdy i inne podobne) oraz fantasy (elfy, krasnoludy, królestwa, smoki). Jest to chyba najbardziej rozpowszechniony gatunek literacki, gdyż powieści, które można do niego zaliczyć, zdarzyło się popełniać nawet takim autorom jak Michaił Bułhakow, George Orwell, Cormac Mc Carthy (choć się do tego nie przyznaje) i wielu, wielu innym. Tak naprawdę literatura tzw. głównego nurtu, w tym ta „ambitna”, pełna jest zapożyczeń z fantastyki – i *vice versa*. Dlatego wspomniany wyżej kategoriyczny podział uważam za pozbawiony sensu. Fantastyka jest w większości współczesną powieścią przygodową, takim Sienkiewiczem czy Karolem Mayem (bo czymże są przygody Wędrownicza, Achaja lub Pana Lodowego Ogrodu?). Taki Huberath z kolei, czy Zajdel, to raczej literatura poważniejsza („ambitna”?), gdyż dzięki niej można zastanowić się nad ludzką naturą. Natomiast Dukaj to fantastyczne wizje przyszłości lub alternatywne rzeczywistości, które zaskakują rozmachem i spójnością, i gdzie nic nie jest pewne. Baśnie. Wreszcie choćby cykl o Mordimerze Piekary to autoironiczny kryminał osadzony w alternatywnej rzeczywistości. Podsumowując, w fantastyce działa zasada ogólnoliteracka – co autor, to inna wizja świata i inna jakość samej książki. Nie można dać wszystkim tym powieściom tej samej metki – do fantastyki można bowiem zaliczyć zarówno tytuły, które weszły do kanonu literatury, jak i totalny chłam. Nie ma więc „jednej fantastyki”, a nawet „jednej *science fiction*”, czy „jednej fantasy” – jednej, czyli jednolitej, możliwej do ścisłego zdefiniowania, jako „ambitna” – „niska”. Jest to raczej zbiór różnych dzieł wrzuconych do jednego wora z wielkim napisem „Fantastyka”.

A czemu czytam fantastykę? Bo mi się podoba, bo mi się to dobrze czyta i po trzecie – gdyż sprawia mi to przyjemność – a to jest główne kryterium, które trzeba stosować przy czytaniu literatury. Wszelkiej. Nic na siłę – po prostu.

f a l i e t o n

Anna Rau

Świat jest kinem, a kino – labiryntem, przed Minotaurem nie ma ucieczki

Człowiek, wychodząc z mroku kina po seansie, w którym oglądał Inny Świat, nagle dostrzega, że wszystko „na zewnątrz” jest jakieś blade, lekko się chwieje, rozmywa... A jeśli kiedyś w końcu się okaże, że te nasze najpilniej chowane przed samym sobą obawy – to niezłomne przekonanie z dzieciństwa, ta wiedza nabyta podczas pierwszej wizyty w kinie – że wszystko, co widzimy na rozciągniętym przed nami ekranie, jest jedyną, najkonkretniejszą, najdotykalszą w skutkach prawdą? Że właśnie TO jest rzeczywistość, a nie obrus na stole podczas śniadania, nie herbata w kubku, nie poduszka, która zostawia w nocy ślad na policzku, nie do bólu znana twarz kierowcy w autobusie? Co wtedy? Czy kiedykolwiek zejdziemy do piwnicy? Czy wejdziemy w wybujałe na wysokość ramion pole żółtej kukurydzy? Czy, słysząc nagłe stukanie w szybę, otworzymy okno? Niejednemu widzowi kino budzi skojarzenie z bramą między światami, z Trójkątem Bermudzkim, z czymś pociągającym i groźnym jednocześnie – przestrzenią, gdzie objawia się schizofrenia świata. Mistrz XXI w. powiedziała, że może dlatego tradycyjne kina przemijają – bo jako miejsca dwuznaczne, objawiające rozwarstwianie się rzeczywistości, niepokoją, straszą, zbijają z pantafelku oswojenia. Takie myśli podsuwa też jedna z nowszych książek laureata „Wawrzynu” Literackiej Nagrody Warmii i Mazur 2009, Krzysztofa Beśki, pt. *Ostatni seans*. Tytuł powieści podpowiada, jaką grę podjął autor z czytelnikiem. Fraza „ostatni seans” to nie tylko odniesienie do głównego wątku książki, ale i wyrafinowane słowo-klucz do interpretacji całości. Pisarz zabawił się, wkładając swojej opowieści maskę filmu, tak że zaczęła ona stanowić swoisty seans na ekranie wyobraźni czytelnika – i to ostatni seans... Ostatni – w warszawskich kinach, które już nie istnieją, choć pojawiły się na kartach powieści jako kluczowe dla akcji miejsca-widma.

Czytelnik otrzymał tym razem od Beśki klasyczny polski kryminał, przy czym należy podkreślić słowo „polski” – gdyż jest osadzony w rodzimych warunkach, bohaterowie książki oznaczają się niejako wspólną rodakom mentalnością, a w dialogach odnoszą się do obecnych, znanych kontekstów społeczno-medialnych. Centralna postać akcji, komisarz warszawskiej dochodzeniówki, Konstanty Podbiał, musi wraz z kolegami – z młodym aspirantem Tymonem Nowakiem na czele – wysledzić sprawcę makabrycznego cyklu nietypowych zbrodni, dokonywanych na terenie stolicy. Były to m.in. mało finezyjny, snajperski postrzał, klasyczne uduszenie oraz drastyczne oblanie kwasem. Jedynym łączącym je elementem był pewien związek z siecią nieistniejących już warszawskich kin. Ale nie tylko z powodu owego zbrodniczego wątku można powieść Beśki porównać pod względem gatunkowym do dzieł filmowych „czarnego kina”. Taki wybór klasyfikacyjny potwierdzają również inne wykorzystane na kartach

książki akcesoria: duszny klimat, szelesty i ruchy w ciemnościach, ciasne przestrzenie, cienie stróżów prawa w nielicznych plamach światła. Biało-czarne kino – biało-czarna powieść. Przy tym wszystkim autor bardzo konkretnie nawiązał nawet do konstrukcji typowego obrazu filmowego, budując akcję swojego kryminału z mocno oddzielonych niejako zaciemnieniami, czyli krótkimi reminiscencjami, scen – zupełnie jak film. Akcja nie jest więc zwartym ciągiem przyczynowo-skutkowym, lecz zbiorem ujęć. Niezwykle inspirującą czytelnika klamrą łączącą prozę Beśki z dziełami kinematografii są też różnorakie nawiązania do konkretnych, znanych obrazów filmowych: choćby do rodzimego serialu *Głina* Władysława Pasikowskiego (dzięki duetowi Podbiał-Nowak, tak podobnemu do partnerstwa Gajewski-Banaś), czy *M jak Miłość* (powieściowy motyw „kultowego” serialu obyczajowego), do *Popiołu i diamentu* Andrzeja Wajdy (dzięki pewnej charakterystycznej scenie wykorzystanej w akcji), czy nawet *Pulp Fiction* Quentina Tarantino (niezapomniane dyskusje na temat pożywienia serwowanego z ulicznych barów szybkiej obsługi).

Ostatni seans najmocniej odwołuje się do podstawowego (zwłaszcza w kinie!) zmysłu ludzkiego – *nomen omen* – do wzroku. Choć oczywiście w tym wypadku chodzi o czytelnicze oko wyobraźni, tak czy owak trzeba przyznać, iż warstwa wizualna w powieści – po prostu opisy – jest niesamowicie dopracowana i plastyczna. Pisarz wykazał się w tym miejscu sporym kunsztem. Warszawa, główne miejsce akcji, to płaszczyzna tak bardzo rzeczywista, że wręcz zmysłowa. Ma mnóstwo intensywnych, nieprzyjemnych fotorów, nagłych, ostrzegawczych, przytłumionych, znanych i nieznanymi dźwięków, zadziwiająco zakręconą sieć zakamarków i korytarzy, ruinek, klatek schodowych i okien. Wszyscy miłośnicy stolicy z pewnością jeszcze bardziej rozsmakują się w tak dotykalsko nakreślonej przestrzeni literackiej, gdyż prócz tego autor nie tylko bardzo starannie określił ważne dla akcji ulice czy budynki, ale i w niewielkich, wysmakowanych ciekawostkach – przebłyskach pamięci i myślach bohaterów – zaserwował cząstki wiedzy o historii współczesnej Warszawy. W taki też sposób pojawiły się wspomniane wyżej wzmianki o zlikwidowanych kinach – „Moskwie”, „Skarpie”, „Sawie”, „Syrenie”, a nawet... „Olsztynie”. Labiryntowość Warszawy, w której stale musi się odnajdować – metaforycznie i realnie – każdy z bohaterów kryminału, jeszcze bardziej podkreśla – przez kontrast – niezwykle ważne dla wielu wątków powieściowych i wyjątkowo specyficzne miejsce w stolicy, czyli metro. Istna sieć żył komunikacyjnych w ciele miasta, ciąg stałego przyspieszonego ruchu, podziemie, straszne w swej formie (wieczny zaduch, ścisk, trudność w poruszaniu się), a bezlitosne w istocie. Lustro rzeczywistości. Beśka wręcz demonizuje warszawski

transport podziemny, powieściowe sceny z metra mają więc bardzo wiele wspólnego z dantejskimi opisami piekła, wręcz podsuwają obraz nieskończonego, cichego udręczenia. Cechuje je koszmarny oniryzm – podobny klimat pojawiał się w dusznych odcinkach kultowego serialu *Miasteczko Twin Peaks*. W serialu – tak jak w metrze Beški – niby nic się nie dzieje, ale widz/czytelnik czuje, że w pobliżu zaczyna zbierać jakieś zło, że niedaleko powoli rodzą się w umysłach ludzkich zaczątki nowych, niedobrych historii... Metro – lupa wydarzeń, niekończąca się poczekalnia żywych przed życiem, miejsce między przestrzeniami, lornetka, która skupia punkty zapalne rzeczywistości i myśli głównego bohatera.

Ostatni seans to ewidentnie powieść miejska. Tym bardziej uderzającym chwytym literackim zastosowanym przez autora jest metaforyczna opozycja Warszawy-labiryntu z jego zapchanymi arteriami metra oraz Mazur – mitycznej Arkadii, gdzie nie ma Minotaurów, gdzie „wszystko”, co mogło być dobre, się zaczęło. Tam był możliwy prawdziwy, nieskrępowany oddech, tam był jedyny prawdziwy odpoczynek i spokój, tam była niemal młodzieńcza swoboda, tam była przygoda z happy endem, tam byli prawdziwi przyjaciele oraz „ta” jedyna, piękna i niezwykła kobieta. Tam była miłość.

W trakcie lektury bardzo szybko można dostrzec, iż pisarz w *Ostatnim seansie* bawi się konwencją kryminału (oraz konsekwentnym wiązaniem sieci odniesień między literaturą a filmem), w wielu momentach wprowadza więc z widocznym upodobaniem również inne konstrukcyjne klisze filmowo-powieściowe – choćby konwencję romansu czy westernu. Przede wszystkim jednak nie buduje akcji na postaciach superbohaterów, ale zwykłych ludzi z problemami czy wręcz dramatami życia codziennego. Nie stanowią oni zbyt pogłębionych portretów literackich. Cóż, coś za coś – filmowy charakter powieści po prostu stłumił głębię opisów osobowości, co jednak, na szczęście, nie uczyniło z bohaterów postaci papierowych. Można też wspomnieć, iż akcję książki tworzą bardzo krótkie, stosunkowo nieliczne bloki dialogowe – żywe, ironiczne, ekspresowe, żadne tam przydługie dywagacje komunikacyjne. (Na zastosowanie takiego typu dialogowości być może wpłynęło doświadczenie autora w zakresie tworzenia słuchowisk radiowych). Mają one bardzo wiele wspólnego z naturalnym tokiem rozmowy, w podobny sposób odtwarzanym w filmie.

Kryminał Beški ma jednak pewne słabe strony. Po pierwsze operuje tak licznymi stereotypami, iż nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że wręcz na nich bazuje. Główny bohater, wspomniany już Kostek Podbiał, to bardzo typowy „policjant powieściowy”: wchodzi w wiek średni wraz z wszystkimi jego cieniami, jego związek małżeński z aktorką Katarzyną Rawską, nadal bardzo kochaną, definitywnie

się rozpada, a prócz tego – jako że rozpoczynał karierę zawodową w „Polsce B”, a obecnie pracuje w Warszawie – ma kompleks człowieka z prowincji. Prócz tego dotyczą go stereotypowe dla policjantów z powieści i filmu okresowe kłopoty z używkami oraz równie stereotypowy stały problem z odżywianiem się, snem i kobietami. Oczywiście jest również, że mimo tego Podbiał stanowi gigantyczny autorytet dla swego młodszego kolegi po fachu, prawej ręki od zadań specjalnych, Nowaka. Stanowią oni kolejne wcielenie filmowego modelu „Batman i Robin”: Robin kiedyś będzie Batmanem, Nowak kiedyś będzie Podbiałem... Stereotypowa jest wreszcie wspomniana na początku tak wyraziście opisana przestrzeń akcji – zarówno ta stołeczna, jak i mazurska. Warszawa w masce „europejskiej stolicy” jest na kartach powieści jednoznacznie smrodliwa, zepsuta od wewnątrz, pospieszna i niebezpieczna, zaś arkadyjskie Mazury epatują żaglówkami, bryzą, słońcem stale tkwiącym na linii horyzontu oraz nigdy nieustającą piosenką o kejach, wydobywającą się zbiorowo ze wszystkich gardeł. To wszystko jednak nie zrzuca *Ostatniego seansu* z półki pod szyldem „dobry kryminał”. Wszak umiejętna żonglerka literacka znanymi do bólu stereotypami podnosi je do rangi odkryć.

Innym minusem powieści – który by jednak można wziąć pod dyskusję – jest fakt, iż ze względu na typ intrygi zamotanej wokół morderstw czytelnik nie ma szans na rozwikłanie zagadki przed końcem lektury. To trochę rozczarowuje, a tych niezłych w morderczych dedukcjach może zniechęcić do powieści. Wymienione kwestie jednak z pewnością zrekompensuje niejedna ironiczna gra pisarza z intelektem czytelnika – jak choćby wykorzystane w pewnym momencie akcji nawiązanie do (przede wszystkim i oczywiście filmowej) legendy Zorro. U Beški ten pozytywny bohater w czarnej masce to „zwyyczajny facet, który nie lubi, jak ludziom dzieje się krzywda”, więc zaczyna bezkompromisowo działać. Ów wątek to istny snop światła w labiryncie, w którym żyją cienie, a za którymś rogiem czai się Minotaur. To on odmienia wszystko w chwilach, gdy dochodzimy do przekonania, że nasze życie to wielki pełnometrażowy, w doskonałym 3D film. Ze cała nasza rzeczywistość, której dotykamy, smakujemy i słuchamy, to hologram, w którym ktoś już wkrótce obejrzy biały napis „The end”... Nie potkniemy się na pytaniach „Co z nami, aktorami? Co z naszym życiem-scenariuszem? Co osadzą na przyszłość?...”. Światło ponadczasowego zamaskowanego bohatera będzie nicią scalającą rozwarstwiający się świat naszych zmysłów. Cokolwiek się dzieje, człowiek w masce nas uratuje.

Krzysztof Beška, *Wieczorny seans*, Warszawa, 2012.

Krzysztof D. Szatravski

tramwaj w dżinsach

w styczniu odrodzone wiatry i słońce
odmieniły wszelkie zamysły, tak cicho
wznosiły się nasze oddechy
ponad drzewami przemknął ptak i nic już
nie mogło przypominać o wiosennym cieniu
drzew nad jeziorem, o zachodzącym powoli
kołującym jak jastrzęb rdzawym słońcu
ale to miasto może przetrwać taką chwilę
możliwe nawet, że nie istniało nigdy
i nigdy bardziej prawdziwie nie brzmiały
słowa układające się w wieczornej ciszy

na górze zamkowej było ciemno
i wietrznie, jakaś siła wyniosła nas
ponad parujące ciepłem dachy miasta
i unosiła jeszcze wyżej, nasze myśli
przebijały chmury jakby ich cienie
mogły przesłonić całą wieczność
filary mostu rozcinały rzekę ale
był dopiero wieczór i sen skradał się
cicho, z teatralnym namaszczeniem

ten spokój i oczekiwanie są ceną nadziei
ale jeżeli jestem tu po raz pierwszy, jak mówisz
to dlaczego ulice rozpoznają moje kroki
dlaczego wtórują dobrze wyćwiczonym echem
i żaden świadek nie jest nam potrzebny
w wędrówce poprzez wieczorny labirynt
czujesz jak spokój wzbiera pod skórą
ten spokój zimny albo śmierć w świetle
kąpiącego się w rzece słońca, przecież
to miasto może przetrwać taką chwilę
możliwe nawet, że nie istniało nigdy
jedziemy tramwajem w którym zupełnie cicho
zamknęło się wczoraj, nikt nie wsiada
ani nikt nie wysiada, może nie ma już nikogo
i tak myślę, żadne miasto nie jest ucieczką
żadna ucieczka nie może mnie zbawić

tak nagle miasto dzieciństwa zamknęło się za mną
miasto młodości odpłynęło w dół tej samej rzeki
miasto nadziei umknęło przed światem
a teraz to miasto ze swoimi tradycjami

z chwiejącymi się w piwnym uniesieniu barami
to miasto nieustannie łaknące i uwijające się
wokół nas jak utalentowany sprzedawca nieruchomości
to miasto spoglądające wszystkimi oknami kiedy
przyłapani na środku wąskiego mostu kluczymy
pomiędzy oszustwem przeszłości i wielką niewiadomą
całe to miasto stało się złudzeniem
jakby nie wystarczyło mu powodów do istnienia
przyklejone do okien tramwaju fasady domów
kołuszą się w świetle, które może coś oznaczać
choć nikt nie wie co dokładnie, takie
krótkie to olśnienie i takie niedostateczne

pusty tramwaj kołusze się pomiędzy tą chwilą
i wszystkimi szufladkami doskonałej pamięci
nikt nie wie, co zdarzy się na ostatnim przystanku
nikt nie próbuje odgadnąć czasu i miejsca
przypadek staje się regułą, a wszystko
jest zaledwie zdarzeniem, chociaż nic
nic nie może się przecież wydarzyć

urodziny

dzwonią od rana przyjaciele
podchmieleni obietnicami wiecznego szczęścia
wspaniałością swych życzeń
szczerością zapakowanych w kokardki pragnień
pompatyczni, godni, hałaśliwi i szczęśliwi
a wszystko czego mi życzą już jest
naprawdę, na koncie, na końcu widelca
albo nigdy nie będzie

a może inaczej
przychodzą wczesnym popołudniem
spokojnie zaglądają do kuchni, siadają na schodach
próbują wino, zaglądają do lodówki
rozmawiają o wszystkim, a każdy myśli inaczej
o szczęściu, nie o życzeniach, o życiu
przychodzą z wody, z powietrza, ze zmyślenia
a przed północą splątane języki
przemówią jedną cichą melodią
i tak się spełni

Jak zdejmować wisielca

i... inne pożyteczne rzeczy

Z zainteresowaniem śledzę wszelkie regionalne wydawnictwa dla najmłodszych. Pewnego dnia, przeglądając książki wyłożone w bibliotece na *bookcrossing*, zauważyłam tytuł *Przyjaciel Dzieci*. Na pierwszy rzut oka rzecz wcale nie dla dzieci. Gruba, bez obrazków, okładka jak z serii „Klasyka Polska” z Prusem na czele. Tymczasem, nieco barokowy podtytuł wyjaśnił, z czym miałam do czynienia: „...to jest księga do czytania y używania dla uczącej się młodzieży pierwey po niemiecku napisana, a teraz na polski ięzyk przetłumaczona...”. Pomyślałam: „Zapewne to ważna i potrzebna pozycja, ale nie takich szukam...”. I już miałam ją odłożyć, gdy z przyzwyczajenia zajrzałam do środka. Na chybił trafił otworzyłam tekst:

„O tym co się powiesił.

Takowy bez najmniejszej zwłoki czasu zaraz oderżnięty być powinien. Przy tym odrzynaniu ciało jego ma być trzymane tak dlatego, aby przez upadnięcie nie poniosło jakiej szkody, jako też i dlatego, ażeby w przenaszaniu jego na inne miejsce głowa ku ziemi nie wisiła”.

No ładnie, takie historie w czytance dla dzieciaków. Kilka kartek dalej znalazłam fragment o kobiecie, która straciła wszystkie swoje dzieci, bo karmiła je wyłącznie niesolonymi kartoflami i zacierką. Zrobiło się ciekawie, więc zabrałam książkę do domu. Potem było już tylko interesująco, a nawet śmiesznie.

Z lekkim rozbawieniem i nieukrywany podziw czytałam wiadomości z działu astronomia. Że Słońce stoi w miejscu, a Ziemia się porusza, to wiedzą już wszyscy. Jednak ile trzeba wysiłku, by wytłumaczyć najmłodszym, dlaczego tak się dzieje, a nie inaczej? A tu proszę – odpowiedź banalnie prosta: „Słońce jest bardzo wielkie i okrągłe (...). Mniemają ludzie mądrzy, że ono jest pół czwarta miliona razy większe niżli nasza Ziemia. (...) Kochane dziatki, zawsze jest rzecz słuszniejsza, aby mniejsze kreatury około większych się obracały. I tak to też jest w samej rzeczy”.

Autorem tej oraz innych pożytecznych opowieści okazał się Fryderyk Eberhard von Rochow, postępowy pedagog, pochodzący ze szlacheckiej rodziny niemieckiej. Niemal dwadzieścia lat później jego książkę przetłumaczył na polski i opublikował w 1795 r. w Królewcu Jerzy Olech, polski pastor i pedagog spod Szczytna. Przeznaczył ją dla szkół ludowych działających na terenie Mazur w XVIII i XIX w. Wierzył, że sprawdzi się ona jako podręcznik dla tych, którzy powinni poprawiać umiejętność czytania, dowiadując się co nieco o świecie.

A warto wiedzieć, że małaolaty w oświeceniu nie miały lekko. Dzieciństwo to czas, który dorośli postrzegali jako dopust boży. Jak najwcześniej trzeba było przystosować małego człowieka do dorosłości – takie było główne zadanie dydaktyczne. Dziecko miało być wyszorowane do białości, posłuszne jak żołnierz i ekspressem

przygotowane do radzenia sobie w życiu. Nikt nie zastanawiał się nad specyficznymi potrzebami wieku. Szkoła była miejscem, gdzie nie tylko popularyzowano informacje, ale poprzez morały i przypowieści wychowywano na porządnym ludzi.

Właśnie z książek takich jak *Przyjaciel Dzieci* uczniowie dowiadawali się, jak być patriotą i że trzeba płacić podatki, a jednocześnie, jak siał i sadzić rośliny, kiedy robić zakupy i że nie warto trzymać świń. Co ciekawe, von Rochow jako jeden z pierwszych zwrócił też uwagę na problemy ochrony przyrody.

Mimo całego dobrodziejstwa, jakie niewątpliwie niosły ze sobą przypowieści, zdumiewał mnie ich twardy realizm i brak fantazji, z jakiej słynął np. Ignacy Krasicki. Starą prawdę, że „grosz do grosza i pół kosza” Rochow ubrał w przygodę Maryjki, która, choć chęć miała straszna, nie zjadła sześciu pestek z jabłka, ale posadziła je w ogrodzie, by po szczepieniach i okulizacji doczekać się „ślicznego owocu”. Dla współczesnego odbiorcy również retro stylistyka jest niełatwa, ale ma tę zaletę, że z łatwością przenosi czytelnika do dawnych czasów. Jak żywe ukazują się postacie głupiotkich, acz obiecujących, dzieci i niemniej błędzących dorosłych. Całość odmalowuje ciekawy obraz mentalności ludzi sprzed dwóch stuleci i zdradza stan ich wiedzy.

Nie zmieniło się natomiast to, co ważne. Również nam, a może szczególnie nam, przyda się kilka słów przypomnienia „O pożytku czytania i pisania” i że „Co za wiele, to niezdrowo”. Bo czy jest jakaś różnica między stałym bywalcem supermarketów goniącym za zbytkiem, a XVIII-wiecznym „delikatnikiem”, co to „barzo był rozpieszczonym (...), tą i ową gardził potrawą. Kupował za jurgielt [roczną zapłatę] chleb pszeny albo kołaczki”?

Przyjaciel..., choć jest podręcznikiem do nauki czytania, bardziej przypomina poradnik do spraw wszelkich – coś jak dzisiejsze wydawnictwa popularne albo nawet kolorowe czasopisma. I tak jak we współczesnych mediach redakcje wyłuszczają nam, jak skutecznie ustrzec się przed rzadkim insektem, gdy najdzie nas nieodparta chęć na wyprawę do lasu amazońskiego, tak też w *Przyjacielu Dzieci* znajdziemy „mądrości” cokolwiek dziwne. Leonard Turkowski pisał w 1983 r. (rok po wznowieniu tytułu) na łamach „Warmii i Mazur”, że to książka „ogromnie urocza (...), zwłaszcza, gdy się pomyśli, jak nasi następcy za 200 lat będą śmiali się z tego, co my dzisiaj wypisujemy”. Sądzę, że potomni śmiechu będą mieli co niemiara, zważywszy, że do najpopularniejszych źródeł informacji o świecie obecnie należy Internet – studnia, z której czerpać można wiedzę wiadrami – i mądrze, i głupio.

Fryderyk Eberhard von Rochow, *Przyjaciel Dzieci*, tł. Jerzy Olech, Olsztyn, 1982.

Rzeźnia ||

literacka

Krzysztof Kapinos

(laureat Rzeźni nr 3)

Uda

-Widziałeś kiedyś śmierć człowieka? – zapytała, kręcąc wciąż i wciąż palcem kółka na jego skórze.

-To nie jest typowe pytanie – nastąpiła krótka cisza, myślał – dlaczego pytasz?

Nie wiedziała. Jest taki moment i takie pytania, które są drogą do jakiegoś dalszego poznania osoby, która obok ciebie leży. Widzisz jej całe ciało. Nagie. Bezwzględnie odkryte. Jaśnie gołe i bezwzględnie niedoskonałe. I czasem rodzą się pytania. Nie takie w stylu: ile łyżeczek cukru do kawy? Tylko te ocierające się o poszukiwanie sensacji. Poszukiwanie dziur w sercu.

Widział kiedyś śmierć człowieka. Nie taką jak w filmach. Tu nie ma umierania na rękach ojca. Tu jest często proste szybkie pozabawienie kupy mięsa podstawowych funkcji życiowych. Ostatnie drgawki. Czasami jest inaczej. Wtedy wszystko zahacza bardziej o naukę, a na naukę jest zazwyczaj mało miejsca w normalnym umieraniu. W normalnym... Nawet kury są zazwyczaj bardziej efektowne. Jak kurze obetniesz głowę, to przez kilkanaście sekund nie ma ona pojęcia o tym. Nie ma w niej faktu, że nie żyje. Jej układ przesyła informacji jest na to po prostu nieprzygotowany. Nieprzygotowany na śmierć. Wynik jest prosty i znany. Jak puścisz kurę, to ona zaczyna biegać dookoła. Biegnie, ucieka, a głowa z daleka na to patrzy. Patrzy na to, jak reszta ciała się wykrwawia ku uciezce małych chłopców.

To nie czas. Nie ta kobieta. Nie to miejsce. Tu nie ma śmierci w nim i jego przeszłości. Tu jest jej niedogolone łono i całkiem przyjemne w dotyku piersi. Jutro będzie inaczej. Będzie inny dzień. Będzie śmierć w nim i jego przeszłości. Nie będzie jej. Nie będzie niedogolonego łona i całkiem przyjemnych w dotyku piersi.

To nie ma znaczenia. Nie teraz. Rano. Pokój był nieskazitelnie ciemny. Mimo tego mroku, mimo zmęczenia oboje nie spali.

-Wiesz... jest taki moment, i takie pytania, które są drogą do jakiegoś dalszego poznania osoby, która obok ciebie leży. Widzisz jej całe ciało. Nagie. Bezwzględnie odkryte. Jaśnie gołe i bezwzględnie niedoskonałe. I czasem rodzą się pytania. Nie takie w stylu: ile łyżeczek cukru do kawy? Tylko te ocierające się o poszukiwanie sensacji. Poszukiwanie dziur w sercu – odpowiedziała.

-Ładne.

-Tandetne.

-Nie... – pocałował ją. Tak odruchowo i tak dziwnie, jak dla niego, czule. – Ładne.

Ona się lekko od niego odsunęła.

-Jutro, jutro będzie Vegas tak? – zapytała jednak bez oczekiwania na odpowiedź. – Wiesz nie ta kobieta. Nie ten czas. Nie to miejsce. Ja rano wyjdę. Nie będę czekać na śniadanie. Wyjdę i od tego czasu będziemy myśleć o sobie tylko w momencie podliczania ilości partnerów seksualnych...

Nic nie mówił. Niewiele nawet oddychał.

...to w sumie naturalne.

-Możemy rozmawiać – lekko poprawił włosy i odpalił papierosa. Lubił palić w łóżku. – Masz rację. Oboje o tym wiemy. Jutro już cię tu nie będzie. To tylko noc. To proste. Tak bywa i tak jest.

Palili.

-Co najbardziej lubisz w kobiecie?

-Wiem, że to banalna odpowiedź, ale wewnątrz.

-To rzeczywiście banalne. Ale takie pytania zawsze wymagają banału. – Zrobiło się jej nieco zimno, więc przykryła się pościelą. – A tak fizycznie? Co lubisz fizycznie?

-Uda.

Palili dalej. Przyglądała mu się. Był nawet przystojny. Może nieco łyśnię, ale jak na swój wiek trzymał się całkiem nieźle.

„Przydałby mi się drugi raz”, pomyślała.

Zanim jednak zrobiła coś w tym celu, on był już w połowie drogi do kuchni.

-Będiesz mnie pamiętać? – sama zaskoczyła siebie tym pytaniem. Chciała, żeby tak było. Chciała, żeby pamiętał. Tym razem tak. On tak.

Obrócił się i lekko uśmiechnął.

-Zawsze pamiętam.

W lodówce była tylko butelka mleka. To, czego potrzebował. Wypił jednym haustem ćwierć tego, co zostało. Pomyślał, że musi zajrzeć do pracowni. Wiedział o tym od kilkunastu minut. Czuł jej głód. Głód swojej pracowni. Miejsca, z którego był dumny. Konstruował ją przez lata. Inni sadzili drzewa, łądzili dzieci. On tworzył pracownię. Zawsze kochana, zawsze piękna, ale niegotowa. Miał ją w głowie od lat. Miał ją skończoną.

Otworzył ostrożnie drzwi. Nie chciał, żeby słyszała. Lepiej niech spokojnie leży w łóżku, niż ma się kręcić po jego mieszkaniu. Lepiej niech leży. Czuł jakby w środku oddychał pełniej. Nigdzie mu się tak nie oddychało jak tam.

Pomieszczenie było słabo oświetlone. Niewielkie i bardzo dobrze wygłuszone. Musiał wygłuszyć. Nie ma potrzeby ryzykować. W końcu jego zabawa jest dosyć głośna. Musi być głośna. Żaby nie były głośne. Kiedy był mały, zabijał je tysiącami, ale żaba nie wyznaczy granic. Nie powie, co ją bardziej boli. Z człowiekiem jest inaczej. Człowiek dużo wytrzyma. Nie umiera tak od razu. Możesz go kroić płatanami, a organizm będzie walczył. Poza tym człowiek jest bardziej ekonomiczny. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo masy, z czego większość jadalna. Mógł dzięki temu rzadziej polować, a zabawy było tyle samo.

Wszystko wcześniej ładnie umył. Wszystko przygotował.

Zgłodniał.

Konrad Sierzputowski

(laureatr Rzeźni nr 2 i 5)

Kronos

Nazywam się Michaś (odrzuć, zdrobnienia są złe!) Michał. Pracuję w banku, nie jestem z tego powodu dumny. Całe życie chciałem być kimś innym niż panem z okienka. Los nie oszczędza takich jak ja. Jesteś tłustą ciotą! Grubym pedałem! Grubym pedałem! Grubym pedałem! (akcentuj ostatnie słowa! Akcenty są najważniejsze).

Nazywam się M. Tak jak mówiłem, pracuję w banku na pozycji kasjera. Mój ojciec jest ze mnie dumny. Nie robię rzeczy, których mężczyzna robić nie powinien. Nie jestem już tłustą ciotą.

Michał Kowalski pracuje w banku, nie jest z tego dumny. „Kocha” swego ojca. Matki nie kocha; matka umarła, gdy był jeszcze mały. Zawsze chciał być klaunem. Spotkało się to z jawnym sprzeciwem ze strony ojca. Michał Kowalski „kocha” swego ojca. Miłość ta jest trudna. Ojciec Michała nie kocha go wcale.

Michaś, Michaśko, Michasiek. Wołały Ciotki, babcie, wujki i inni więksi, mądrzejsi, znający-życie-lepiej-ode-mnie ludzie. Nie reagowałem. Bawiłem się sam, w samotności, niezmiernie z tego powodu szczęśliwy.

To było 15 lat temu. Miałem 12 lat; Teraz mam lat 27; pracuję w banku. Dostałem farby i miałem twarz, której teraz nie zauważam. Wtedy widziałem ją i dotykałem. Miałem nos, oczy i usta. Uszy w kątach. Chciałem być klaunem. Byłem klaunem. Jestem Tłustą Ciotą! (Akcent! Akcent! Akcent!)

Jestem M., mam ojca. Ojciec ma mnie. Ja miałem farby i twarz. Bawiłem się sam, w samotności. Wszystko było dobrze, póki Ojciec nie

zobaczył mojej samotności. Czerwoną farbą umalowałem usta i zabiełem czoło;

Pędzel zetknął się z nosem, nosem, nosem.
Jesteś tłustą ciotą! Ciotą, ciotą, ciotą.

Czy bałem się wtedy gdy krzyczał? Czy rozumiałem, co mówił? Pedał kojarzyło mi się z rowerem, tłusta ciota, z którąś z ciotek, tak bardzo kochanych i słodkich, że aż przez dziecko zniechędzonych. Tak bardzo tłustych od tej miłości. Jak można to źle kojarzyć? Słowa ciota i pedał stały się dla mnie modlitwą, tak krótką i tak głupią, że nawet ja sam bałem się jej używać.

Gdy słyszę na ulicy te „dwa słowa piękne”, od razu się odwracam. Ciotka! Głowa w tył! Pedał! Głowa w tył! Michał! Michał! Michał!

Czy miałem złe dzieciństwo? Mężczyźni nie rodzą się dziećmi. Czy kocham ojca? Jak kochać kogoś, kto uśmierca własne dziecko?

Pracuję w banku na pozycji kasjera. Czasem, gdy nikt nie patrzy, nakładam nos klauna; wtedy widzę swoją twarz, ale zaraz, szybko, zdejmuję ją i chowam w sobie, w kieszeń też chowam. Boje się ojca, który umarł, mimo że mieszka za ścianą.

Czasem stoję nad jego łóżkiem, dotykam jego nosa, nos, nosem jak ten pędzelek, pędzelka, pędzelkiem w dzieciństwie. Staję się własnym ojcem, który widzi dziecko w roli klauna, który widzi pedała, który widzi ciotę, który widzi dziecko.

Ojciec nie żyje, choć oddycha. Kto umarł, ten nie żyje, nie istnieje; jestem klaunem; pracuję w banku; jestem Michał, Michaś, M. Kowalski. Jestem kasjerem, który truje swojego ojca, sukcesywnie zwiększając mu dawkę leków. Codziennie pół tabletki więcej, codziennie jeden dzień bliżej śmierci. Codziennie zasypiamy, tato, z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku.



Alicja. Po drugiej stronie lustro. Scen. Jerzy Szytak.
Rys. Jarosław Gach

Marcin Makowski

(laureat Rzeźni nr 2)

Całe życie

Podchodzę do stolika i rzucam na niego stos papierów i teczek.

-W czym mogę panu pomóc? – pyta mnie miła urzędniczka biura do spraw życiowych.

-Jestem niezadowolony z życia! – wybucham. – Bardzo niezadowolony!

-Rozumiem – odpowiada uprzejmie.

-Wczoraj na przykład musiałem czekać trzy minuty na czerwonym świetle na zupełnie niepotrzebnym przejściu, w zupełnie idiotycznym miejscu, które doprawdy, nie wiem, co za idiota wymyślił. Jak zresztą większość ruchu drogowego w tym mieście.

-To wszystko?

-Ależ nie, to dopiero początek! – obwieszczam z triumfem. Chociaż po chwili orientuję się, że mówienie z triumfem o swoich problemach jest trochę perwersyjne. – Otóż – kontynuuję – w zeszłym miesiącu klóciłem się średnio sto razy o byle co z moją dziewczyną i tylko raptem dwa razy o coś ważnego. Wcześniej miałem poważne, bolesne rozstania. Do tej pory nie wygrałem w totka, nie mam samochodu, nie zostałem aktorem, ludzie nie chcą mnie słuchać ani podziwiać, a pralka sąsiada wibruje tak głośno, że pękają mi ściany – mówiąc to, wyciągam kolejne papiery i zdjęcia z teczek – tu jest wszystko udokumentowane. – Tylko proszę spojrzeć na to zdjęcie z kwietnia 1993 roku. Widzi pani, jaki byłem piękny, jaką gładką miałem cerę? A teraz to, co się dzieje z moją twarzą, to jakieś nieporozumienie, ja w ogóle tego nie zamawiałem! Całe moje ciało to nieporozumienie. Biceps za mały, a kaloryfer to mam tylko w pokoju i to jeszcze źle zamontowany! W związku z powyższym chciałbym złożyć reklamację!

-Czy próbował pan jakichś sugerowanych przez nas rozwiązań?

-Oczywiście że próbowałem. Nie jestem taki głupi. Próbowałem płakać, dowodzić swoich racji, piłem, paliłem, ale to, proszę pani, wszystko na krótką metę – w ogóle nie pomaga.

-A czy krzyczał pan wniebogłosy i złorzeczył bogu?

-Oczywiście, od tego w ogóle zacząłem.

-Hm... dziwne, zazwyczaj to bardzo dobre rozwiązanie, niektórzy robią nawet z tego główny cel swojej aktywności. Rozumiem, że kobiety, to było ich więcej niż to, co tutaj napisane?

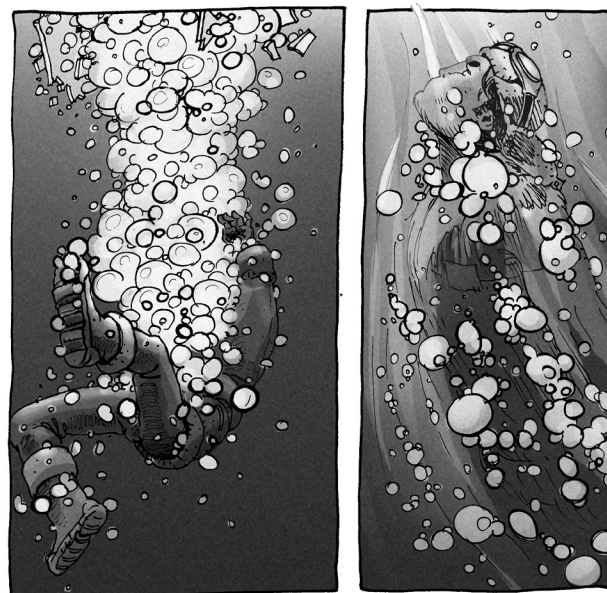
-Oczywiście, za kogo mnie pani ma? Ale, proszę pani, z mieszania się języków wychodzą tylko nieporozumienia, wiem, bo przeczytałem tę waszą pierwszą instrukcję o bablu.

-O wieży Babel.

-Babel, bablu, babu król, co za różnica?!

-Widzę, że dostał pan od nas pokaźny zbiór tekstów. Przecież większość z nich posiada rozwiązania na pańskie kłopoty.

-Jasne! Otrzymałem książki, nawet dostęp do całych bibliotek, ale nie



Biegun: Scen. Tomasz Piątkowski.
Wyd. Instytut Marka Kamińskiego.
Rys. Jarosław Gach

powiedzieliście, z których korzystać. Większość tych waszych instrukcji jest sprzeczna: nie jedz mięsa albo jedz, bo nie przyswoisz witamin, pij mleko, nie pij mleka, socjalizm, kapitalizm, chwytaj dzień, bądź ascetą. To jakaś kompletna paranoja.

-To pan nie wiedział, że to trzeba stosować wszystko naraz?

-Proszę pani, ja zamawiałem poziom życia szkolny czy uniwersytecki?

-A, przepraszam, rzeczywiście, w tej wersji rzeczywistości nie da się tego pogodzić.

-W ogóle to, co dostałem, proszę pani, to jest jakaś wersja próbna, trochę inteligencji, trochę urody, trochę rozumu, trochę pieniędzy, ale w żadnym wypadku tego, kim jestem, nie można nazwać pełnowartościowym produktem!

-Cóż, bardzo mi przykro...

-Bardzo pani przykro? To mi jest przykro, proszę pani! Ja z tym muszę żyć i to tyle lat! Nie dość wszystkiego, codziennie jeszcze muszę to wyłączać przynajmniej na 8 godzin, bo się przegrzeje, czy co tam.

-Cóż, w takim wypadku proponuję panu zupełnie nowy zestaw. Życie syna potentata naftowego, w tej wersji uroda jest nadal przeciętna, ale za to ilość gotówki pozwala na realizowanie wszystkich pragnień. W tej wersji umiera pan po czterdziestu latach, nie zaznając problemów starości.

-Brzmi dobrze, ale tym razem nie chcę żadnych duchowych pogoni za tym czymś nieokreślonym, co drzemie w każdym z nas, ani poczucia dziwnej pustki w trakcie przygodnych kontaktów seksualnych.

-Bardzo mi przykro, możemy to najwyżej zmniejszyć, ale wtedy czeka pana bójka w wieku lat piętnastu, wysokie wymagania ze strony ojca oraz nieokreślony jeszcze uszczerbek na zdrowiu przed trzydziestką.

-Niech będzie i tak nie chciałem, aby było za łatwo.

Wojciech Hieronimus Borkowski

(laureat Rzeźni nr 1)

Selbstporträt in einem halben Jahrhundert, praktisch

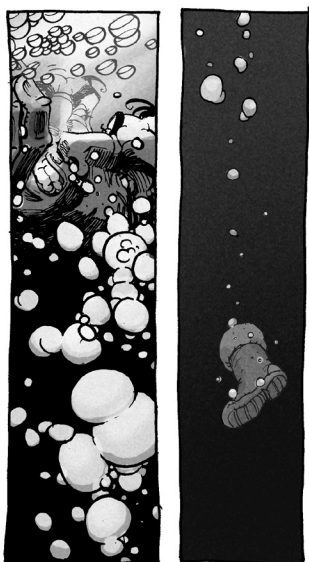
mam kilka stosownych tyżeczek
dobrze wyćwiczonych przy picciu herbaty
a poza tym
posiadam jeszcze przekorne popielniczki
na każdą niestosowną okazję

zastanawiam się często
dlaczego
nicość jest rodzaju żeńskiego
a gównu nijakiego

wierzę przede wszystkim
w ciągle spóźnione pociągi
i szalonych prowokatorów

moim skromnym zdaniem
jest tego aż nadto
bym swoim sofistycznym grymasem
zabrudził co najmniej
połowę zmarginalizowanej ściany
infamii
i anatemy

14 maja 2012, 08:57:33



Biegun. Scen. Tomasz Piątkowski.
Wyd. Instytut Marka Kamińskiego.
Rys. Jarosław Gach

Krzysztof Kapinos

(laureat Rzeźni nr 3)

Funkcjonowanie prawd życiowych w trwaniu życia codziennego

Umiejscawiam w różnych
konotacjach i miejscach zdarzeń
uwarunkowanych przez ludzi fakty pieniądze
swoje kilkadziesiąt
mniejwięcej
lat funkcjonowania
wzbogaconego przez liczne doznania
i nieliczne wytryski
świadomości bycia kimś niemoralnie
pospolitym

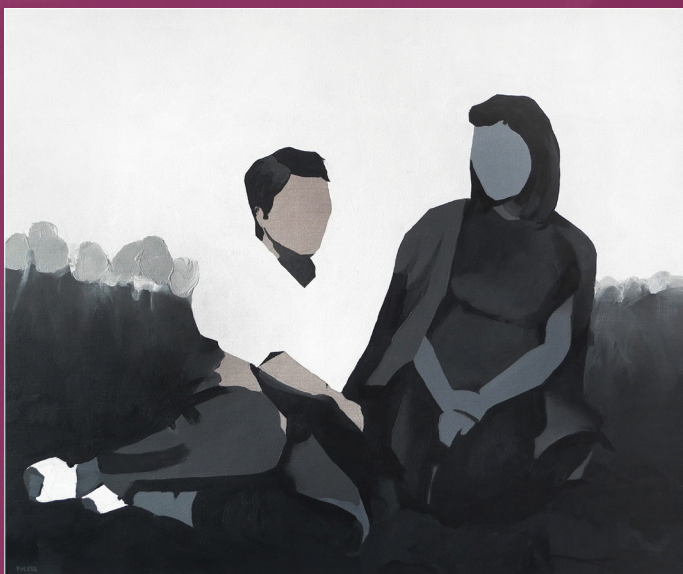
Jest chłodno
okno otwarte jest
wietrznie
bo dzisiaj zima
a jak jest zima to musi być zimno

„Ojciec od razu wybiegł z domu,
żeby odpalić autobus.
Pracował wtedy jako kierowca. Z mamą i bratem
złapaliśmy kilka koców i za chwilę siedzieliśmy
razem z nim w autokarze. [...]”
Jeździliśmy i zbieraliśmy mieszkańców.
Ilu tylko się dało zmieścić,
jechaliśmy na stojąco –
relacjonuje piłkarz”¹

Bywało więc cieplej w historii ludzkości.
Tak zwana kwestia doświadczeń

¹ http://www.sport.pl/pilka/1,65029,9205610,Ekstraklasa__Cotra__Bo_to_wszystko_bylo_jak_w_filmie.html

Jarosław Puczel



Gerard Philipe

Puczel podpatruje sytuacje intymne, gdzie w grę wchodzi relacje międzyludzkie. W wielu z tych obrazów obecne jest jakieś napięcie, które rozgrywa się między dwójkiem ludzi, jak w pracy *Egzamin*, czy *Ruda*. Nie wiemy, co dokładnie się wydarzyło, ale wyraźnie wyczuwalny jest niepokój. Obecne jest w obrazach artysty jakieś drugie dno, które wprowadza w nie dozę metafizyki. Sam zresztą malarz mówi o interesującym go aspekcie wielowarstwowości przenikających się rzeczywistości: „W jednej z warstw możemy odnaleźć doświadczenia znane i utrwalone, które wobec płynącego strumienia życia są często nieaktualne czy nieistotne (stąd często bierze się ich dramatyzm). Nakłada się na nie rzeczywistość »na gorąco« rodzących się uczuć i myśli, prowadząca do nowych działań...”. Stąd wprowadzany przez niego zabieg „obrazu negatywowego” lub też rozmazywania partii obrazu, na którym rzeczywistość jest zarejestrowana jakby była widziana w ruchu. Stosowane przez artystę zabiegi malarzkie mają zwrócić niejako uwagę na dualność świata, nakładanie się rzeczywistości. Oprócz wspomnianych środków Puczel posługuje się także silnymi kontrastami, na których buduje swoje obrazy, niekiedy ograniczające się do czerni i bieli (*Pianista*, *Studio fotograficzne*).

W obrazach Puczela często mamy do czynienia z pewnym rodzajem nieuchwytniej iluzji, nieoczywistości. Takie są też obrazy, w których artysta utrwała zjawiska fizyczne, takie jak bańka mydlana (*Powiększenie*). Artysta niekiedy wyabstrahuje motywy z przestrzeni, otwierając na nowe znaczenia, jak w pracach: *Procesja*, na której widzimy płatki kwiatów wrzucone w czarne tło, czy też obraz (*bez tytułu*), ukazujący dwa medaliki z krzyżykami, które znajdują się na specjalnych stojakach służących ekspozycji w sklepach jubilerskich.

Olsztyński malarz.

Urodził się w 1965 r. w Kętrzynie.

Absolwent Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

W ramach Twórczych Warsztatów Filmowych Ośrodka Kultury Ochoły w Warszawie zajmował się teorią i praktyką filmową. Przez wiele lat pracował jako grafik komputerowy, m.in. w olsztyńskim wydawnictwie AFW „Mazury”. Należy do Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików.



Zakochani

Obrazy te kryją w sobie umowność i niedopowiedzenie, w lapidarnym języku ujawniają wielokierunkowość znaczeń przedstawionych przedmiotów.

Puczel odrealnia też osoby – przez zamazywanie, niedomalowanie twarzy modelom, oczywiście odsyła do zabiegów stosowanych przez członków grupy Ładnie – Wilhelma Sasnala i Marcina Maciejowskiego. Artysta także podpatruje społeczeństwo, ważne jest dla niego „tu i teraz”, jego obrazy ukazują sceny z codziennego życia. W pierwszej warstwie jest on zdecydowanym realistą, który chwytą współczesność, ale pod jej powierzchownością kryje się istotniejsza niż tylko pozorna wymowa. Język malarski Puczela jest lapidarny, oszczędny, ale też prosty i przystępny w odbiorze. Jego obrazy mają też drugą naturę, drugie dno, które czyni je po prostu wciągającymi.

Patrycja Jastrzębska
(fragment tekstu z katalogu wystawy w galerii „Milano” w Warszawie)



Powiększenie



Ruda



Pomiędzy



Gra

Pogoda na kryminał

z Bernadettą Darską, autorką książki *Śledztwo i płeć*,
rozmawia Sylwia Białecka

Bernadetta Darska: Kryminalna pogoda, prawda?¹

Sylwia Białecka: Kryminalna pogoda. Muszę przyznać, że ucieszyłam się, kiedy zaproponowano nam, by wystawa KRIMI gościła w Olsztynie właśnie w te ponure zimowe dni – mnie ta pora zawsze nastroja do mrocznej lektury. Naszą rozmowę o niemieckiej powieści kryminalnej chciałabym zacząć przekornie od stwierdzenia Tobiasza Gohlisa, który napisał, że nie ma czegoś takiego jak kryminał niemiecki, to znaczy powieści teni mają żadnych cech, które by je wyróżniały na tle twórczości w innych krajach, oprócz języka oryginału. Czy rzeczywiście jest tak, że niemieckie kryminały to zbiór różności, które łączą tylko język powstania, czy jednak można mówić o pewnej specyfice niemieckiej powieści kryminalnej?

B.D.: Można by zacząć jeszcze bardziej przekornie i powiedzieć, że niemieccy autorzy są tak naprawdę bardzo skandynawscy – na przykład dwaj obecnie najbardziej znani w Polsce pisarze spośród prezentowanych na tej wystawie: Jan Costin Wagner i Jan Seghers. I to jest swojego rodzaju paradoks: gdybyśmy chciały rozmawiać o specyfice kryminału skandynawskiego, mogłybyśmy zanalizować tych dwóch niemieckich autorów i świetnie udałoby się wykazać jego charakterystyczne cechy. I faktycznie jest tak, że mówienie o kryminale niemieckim, rosyjskim, hiszpańskim, rosyjskich, czy polskim to duże uproszczenie. Ja widzę to inaczej – zauważam tendencje pojawiające obecnie w kryminale w ogóle. Do takich najważniejszych należą konwencje pastiszowe, próby tworzenia antybohatera i oczywiście postaci kobiece.

Jeśli mielibyśmy mówić o takiej cesze niemieckiego kryminału, która go wyróżnia, to jedną z tych cech jest pokazywanie małego miasta na prowincji, albo dużego miasta, ale w taki sposób, że wydaje się ono prowincją, przedmieściem, jak na przykład Frankfurt nad Menem w powieściach Jana Seghersa. Oczywiście taki wizerunek miasta jest obecny również w twórczości autorów z innych krajów, ale w niemieckim kryminale jest to dość wyraźne. Można również w pewnym sensie mówić o temacie niemieckim – choć jest on obecny bardzo mocno również w powieściach skandynawskich czy amerykańskich – mam tu na myśli zmaganie się z przeszłością faszystowską. Na przykład w *Partyturze śmierci* Jana Seghersa pojawia się właśnie tajemnica z przeszłości, która wpływa bardzo mocno na teraźniejszość. Seghers świetnie ukazuje dramat człowieka, który żyje przez kilkadziesiąt lat z tą wiedzą o tym, co mu się przydarzyło właśnie w czasie II wojny światowej. Po wielu latach ten dramat odżywa na nowo i jest współczesnym problemem, a tytułowa partytura staje się

nośnikiem znaczeń, które prowokują do zbrodni. Takie wątki pojawiają się w książkach nie tylko niemieckich, ale również amerykańskich, czy skandynawskich, na przykład u Mankella jest to dosyć częste.

Paradoksalnie takie kryminały mają również wymiar edukacyjny – mówię paradoksalnie, bo wydawałoby się, że w czasie II wojny światowej wydarzyło się tak dużo zła, że wiedza o tym powinna być powszechna. Tymczasem bardzo, zarówno we wspomnianej powieści Seghersa, jak i u innych autorów, zdarza się, że któryś z bohaterów nie posiada wiedzy o obozach koncentracyjnych i zbrodniach II wojny światowej. Raptem okazuje się, że wiedza o tym nie jest tak oczywista, jakby nam się wydawało.

S.B.: Wspominałaś o postaciach kobiecych...

B.D.: Tak, to bardzo wyraźna tendencja we współczesnym kryminale, obecna również wśród powieści autorów prezentowanych na tej wystawie, choć niestety niewiele z nich tłumaczonych jest na język polski (tu apel do wydawców!). A warto byłoby czytelnikowi polskiemu przybliżyć twórczość Astrid Paprotty, która ma świetną bohaterkę, Inę Henkel, czy Boris Gercke i jej Bellę Block. Po polsku wydana jest książka Bottiniego *Morderstwo w znaku Zen*, gdzie główną bohaterką jest policjantka Louise Boni. I można powiedzieć, że ona boryka się z klasycznymi problemami bohaterki współczesnej powieści kryminalnej. Są to zawirowania w życiu prywatnym – Louise jest rozwiedziona i z jednej strony jest zadowolona z tego rozvodu, ale z drugiej ciągle nie potrafi się pogodzić z odejściem mężczyzny, bo to jednak on był stroną inicjującą rozstanie. Bohaterka Bottiniego ma również problemy z alkoholem i to jest też częsty wątek – pojawiają się różne nałogi, mniej lub bardziej groźne. Kobiące bohaterki mają też często jakieś problemy z odżywianiem – objadają się, mają jakieś dziwne upodobania, na przykład bohaterka Darii Doncowej uwielbia opychać się fastfoodami. Zresztą jest to cecha charakterystyczna wielu bohaterek kobiecych – one nie mają czasu na normalne jedzenie: często zaglądną do lodówki, a ta lodówka jest pusta, a jeżeli już coś w niej jest, to najwyżej mrożonki czy pizza do odgrzania w mikrofalówce. Chociaż z drugiej strony zdarzają się takie bohaterki, które relaksują się przy gotowaniu. I jak czytam na przykład książki Patricii Cornwell, to myślę, że każdy, kto lubi gotować, zazdrościłby jej bohaterce tak wspaniale wyposażonej kuchni. I ten ogrom pieniędzy, który został zainwestowany w przestrzeń, która ma pełnić właśnie funkcję relaksującą – myślę, że na każdym zrobiłoby to duże wrażenie.

S.B.: Zauważyłam, że bohaterowie kryminałów mają zazwyczaj jakieś nietypowe hobby, na przykład Wallander jest

pasjonatem opery. Bardzo często są znawcami danej dziedziny i rzeczywiście każdą wolną chwilę, kiedy nie myślą o przestępcy, poświęcają swojemu hobby intensywnie, niemal maniackalnie.

B.D.: Ale często jest też tak, że nie mają czasu na pasję, bo pasją jest właśnie ich praca – ściganie przestępców. I są w nią aż tak zaangażowani, że zdarza im się funkcjonować na pograniczu prawa. Oczywiście stoją po stronie dobra, sprawiedliwości i ich celem jest walka ze złem, ale czasami potrafią też pójść na kompromis, współpracować z takimi, powiedzmy, szemranymi osobami. Wybierają mniejsze zło, by pokonać to większe. Dobrym przykładem jest tu Jörg Juretzka i jego powieści, których akcja rozgrywa się w środowisku gangu motocyklistów. Ale co ciekawe, nawet jeśli bohaterowie ci funkcjonują w jakimś wątpliwym towarzystwie, to pozostają ludźmi honoru, to znaczy, mają na swoim koncie jakieś brudne sprawy, które nie zawsze są społecznie akceptowane, ale można na nich polegać, kierują się niepisanym kodeksem i na przykład dla przyjaźni są gotowi wiele poświęcić. I często tylko ze względu na ten kodeks i „dawną przyjaźń” detektyw lub detektywka otrzymuje pomoc od półświatka. Honor i godność rozumiane są w takim starym stylu, nawet często archaicznym.

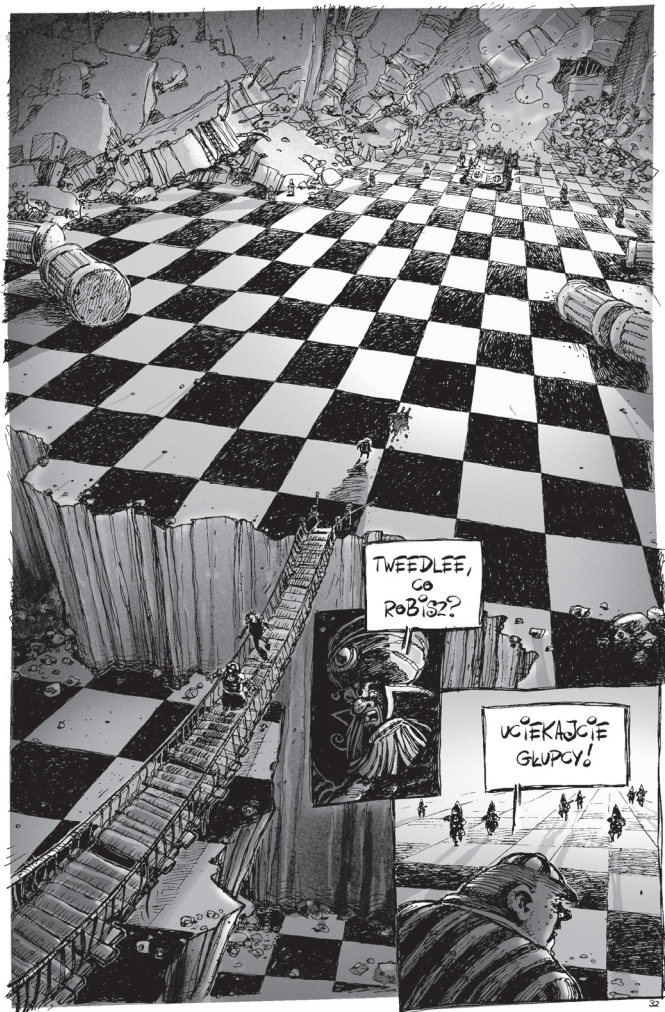
S.B.: U Juretzki główny bohater jest nawet byłym narkomanem i w powieści *Alles total groovy hier* trafia wraz z przyjacielem do obozu hipisów, gdzie dzieją się rzeczy niewyobrażalne. Bohaterowie kryminałów często nie są obyczajowymi purytanami, delikatnie mówiąc. Na przykład Bella Block i Ina Henkel są nawet dość rozwiązłe w takim konserwatywnym rozumieniu.

B.D.: Tak, da się zauważyć takie tendencje. Tutaj można przywołać bohaterkę książek Christine Lehmann, Lisę Nerz, która jest biseksualna i jest w związku z transseksualnym prokuratorem. Takie uwikłanie erotyczne i skomplikowanie różnych zależności i identyfikacji jest jedną z cech kryminału współczesnego, który oswaja nas z innością. Często jest to traktowane jako rodzaj ekscesu i mam wrażenie, że jest to dosyć częste w kryminale, żeby wymienić chociażby słynną skandynawską autorkę kryminałów Anne Holt. Bohaterka jej powieści jest policjantką, lesbijką, ma problem z *coming outem*. I dopiero jej kolega policjant oswaja ją z tym i przekonuje, że jednak powinna stawić czoła otoczeniu. Ale i sama autorka, Anne Holt jest ciekawą postacią – również żyje w związku z kobietą, przez pewien czas była ministrem, a teraz pisze kryminały, więc z naszej polskiej perspektywy jest to rodzaj ekscesu. Jedną z najstynniejszych amerykańskich autorek kryminałów, Patricia Cornwell, też poruszyła temat homoseksualizmu – siostrzenica głównej bohaterki, dr Kay Scarpetty, to lesbijka, jest świetną programistką, pilotką i pracuje w FBI. Wszystkie te powieści pokazują, że ludzie są bardzo różni, ale naprawdę liczy się to, jak wykonuje się swoje zadanie i jak się prowadzi śledztwo. Nie ma jednak żadnego szablonu na detektywa, żadnego określonego zespołu cech. Niektórzy bohaterowie nie są nieskazitelni, mają swoje ciemne sprawy i grzeszki, odstają od normy – to pokazuje, że można walczyć ze złem, poświęcić życie dla tej idei, a jednocześnie być dość nieprzyjemnym typem, bo natura ludzka jest bardzo skomplikowana i nic nie jest czarno-białe.

S.B.: Kryminal walczy ze stereotypami?

B.D.: Oswaja nas z innością. Jest to dosyć istotne, ale łamanie konwencji i normy obyczajowej nie zawsze dotyczy tylko sfery seksualnej. Widoczne jest to w całościowym ujęciu postaci, szczególnie w porównaniu bohaterów kobiecych i męskich. W kryminale współczesnym można zauważyć przełamanie stereotypu kobiety, która dawniej była istotą pasywną – miała być przede wszystkim ozdobą i pojawiała się jako *femme fatale* lub po prostu była ofiarą (to się akurat nie zmienia). Kobieta we współczesnych powieściach kryminalnych jest natomiast stroną aktywną, co powoduje równoległą zmianę męskiego bohatera, który potrafi pokazać swoje słabości, uczucia, zaufać intuicji. Na przykład serię powieści Jana Costina Wagnera można czytać jako wielki dramat mężczyzny, który nie potrafi pogodzić się ze śmiercią żony. Ten wątek powraca właściwie w każdej z tych trzech książek (*Księżyc z lodu*, *Milczenie*, *Zima lwów*) i to w – ze stereotypowego punktu widzenia – kobiecy sposób postrzegania świata. Kimmo Joenta, bohater Wagnera, jest bardzo wrażliwy, całe jego otoczenie wie, że on rozpacza po swojej żonie, on tego nie ukrywa, a nawet tym bólem epatuje. I jeśli mówię o łamaniu konwencji, to też w tym sensie, że opis żałoby w ogóle nie jest szablonowy,

Alicja. Po drugiej stronie lustra. Scen. Jerzy Szytak.
Rys. Jarosław Gach.



to po prostu świetny, wnikliwy portret psychologiczny, co jest kolejną znamieną cechą kryminału współczesnego. W swojej trzeciej powieści *Zima lwów* autor opisuje z wielką wrażliwością moment zakończenia żałoby, kiedy bohater jest gotów żyć dalej, jednocześnie nie odcinając się od zmarłej żony. W książkach Wagnera w specyficzny sposób opisywanie są też zbrodnie, które ulegają swoistemu zawieszaniu, rozmyciu.

S.B.: Równie specyficzny jest sposób ukazania sprawcy.

B.D.: Tak. Czytelnik często wie, kto jest sprawcą, którego w dodatku nie spotyka kara, co jest irytujące i denerwujące, bo czytelnicy oczywiście chcą tego oczyszczenia na końcu, potwierdzenia sprawiedliwości przez to, że po winie następuje kara. Równie częstym wątkiem w kryminale niemieckim i w kryminale w ogóle jest to, że zbrodnia nie zostaje ukarana albo wręcz ulega samoodnowieniu. Bohaterowie często podejmują walkę ze złem, choć tej walki nigdy do końca nie wygrywają. Można to zaobserwować w twórczości Bottiniego, ale również Paprotty i Gercke – tam bohaterowie walczą o to, by zło nie spotkało najsłabszych. W ich powieściach dominują właśnie te przestępstwa, które uderzają w kobiety i dzieci: pedofilia, prostytutka, handel kobietami i dziećmi. I na przykład u Bottiniego bohaterka otrzymuje przykaz od własnej matki, która każe jej walczyć ze złem wymierzonym w kobiety i dzieci i nigdy w tej walce nie ustawać. Ale jednocześnie jest to poczucie, że w miejsce jednej zlikwidowanej siatki pedofilskiej powstaną trzy nowe. I pokazanie tej determinacji jest też bardzo istotne.

S.B.: Podobnie w *Georgii* Doris Gercke bohaterka tropi kogoś, kto szkoli osoby przeprowadzające tortury, ale zbrodniarza nie spotyka zasłużona kara. Wstrząsające jest też to, że tortury odbywają się tu w majestacie prawa, a przestępcą jest jeden z najważniejszych prokuratorów w kraju.

B.D.: Myślę, że brak tego łatwego pocieszenia jest bardzo ciekawy – to jest coraz wyraźniejsza tendencja: odejście od konwencjonalnego kryminału, w którym sprawa zostaje rozwiązana, przestępca idzie do więzienia, dobro triumfuje. Bardzo często finał jest taki, że nic się nie zmienia, albo zło ulega wręcz zwielokrotnieniu. Myślę, że to jest nawet wyraźniejsze w książkach kobiet, z tego jest znana Doris Gercke, która przedstawia wyjątkowo brutalne akty przemocy. Powieść *Weinschröter, du musst hängen* zaczyna się od opisu gwałtu na kobiecie z użyciem urzędnika do inseminacji bydła. Inną autorką jest Val McDermid, która opisuje wynaturzone i przerażające, a przy tym naprawdę realne, zbrodnie.

S.B.: A czy można mówić o nowych trendach w percepcji kryminału? Jeszcze do niedawna traktowano je jak literaturę popularną, trywialną, czytaną dla rozrywki, natomiast już od pewnego czasu powieść kryminalna jest traktowana inaczej, nie wstydzimy się już tej lektury. Mówiłaś o tym, że kryminały często mają aspekt edukacyjny lub osławiają nas z odmiennością, z tym, czego nie tolerujemy. Czy można mówić, że kryminał przemienił się w taką powieść społeczną?

B.D.: Można by się pokusić o taką interpretację. Coraz częściej mówi się, że kryminał jest opowieścią o współczesnym społeczeństwie,

o tym, co nas boli, czego się lękamy. Nie bez powodu pojawiają w nim zbrodnie wobec kobiet i dzieci, czy odradzanie się faszyzmu. Czytamy o tym w gazetach na co dzień, to nie jest jakieś wydumane zło, ono jest obok nas. Jednocześnie kryminał jest barometrem pewnych zmian społecznych. Dlatego jest taki *boom* na bohaterki, które prowadzą śledztwo, i na powieści, które pokazują, że kobieta często musi łączyć te dwie role: prywatną, domową i publiczną, zawodową. Często sama wychowuje dzieci, musi się zmagać z mnóstwem problemów, również finansowych, załatwić opiekunkę, by móc pójść do pracy. Wszystko to znamy z naszej codzienności. Myślę, że pojawienie się tych bohaterek, to odpowiedź na zmiany zachodzące w naszym społeczeństwie, większą obecność kobiet w przestrzeni publicznej, z którą się już raczej nie dyskutuje. To normalne, że kobieta ma prawo do pracy, do realizacji swoich pasji. Jednak wciąż musi zmierzyć się z pewnymi problemami, kiedy wchodzi w rolę uważane za typowo męskie – konflikt płci widać w tych zawodach wyraźniej niż w innych. Stąd obecny w literaturze motyw policjantek, które muszą udowodnić, że są dobrymi policjantkami.

Można też mówić o zmianie, jeśli chodzi o recepcję akademicką, krytycznoliteracką. W Polsce zmiany te są bardzo powolne i literatura popularna ciągle jest traktowana jako rzecz niewarta uwagi, choć mam wrażenie, że to się jednak zmienia – dowodem są badania prof. Burszty, czy książka prof. Czubaja *Etnolog w Mieście Grzechu* porządkująca teoretycznie temat literatury kryminalnej, czy też mój skromny wkład. Napisać dobrą powieść popularną to też jest sztuka. Recenzje i omówienia powieści kryminalnych na stronie Goethe-Institut sygnowane są imieniem i nazwiskiem. Często autorzy takich tekstów podpisują się jako krytyk/krytyczka literatury kryminalnej, a więc można powiedzieć, że istnieje już taka specjalizacja – to jest wciąż nie do pomysłenia w realiach polskich. U nas specjaliści rzadko piszą o literaturze popularnej. Są też nagrody dla powieści kryminalnych, które mają już swój prestiż i tradycję. To widać również po tym, jak wydaje się kryminały u nas, a jak na przykład w Niemczech. Wystarczy porównać okładki książek Seghersa w niemieckich i polskich wydawnictwach. Polskie przekłady wydawane są w świadomie kiczowatej okładce – ja widzę w tym grę z pewną konwencją. Niemieckie okładki są zupełnie inne – artystyczne, wysmakowane. W Europie Zachodniej, a jeszcze wyraźniej w Ameryce, literatura popularna ma zupełnie inny status. Tam nikt nie wstydzi się być autorem literatury popularnej. Autor, który jest czytany, i który jest uwielbiany przez czytelników, jest traktowany jako pisarz, po prostu dobry pisarz. I to jest uzasadnione. Skoro potrafi utrzymać naszą uwagę, przekonać nas do poświęcenia czasu na lekturę jego książki, stworzyć świat, z którym się utożsamiamy, to jest właśnie świetnym pisarzem.

¹ Rozmowa, której fragmenty prezentujemy, odbyła się 11 stycznia 2012 roku w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie, podczas otwarcia wystawy *KRIMI! – literatura z dreszczykiem* poświęconej niemieckojęzycznej powieści kryminalnej. Aura była tego dnia wyjątkowo niefaskawa.



Fot. z archiwum artysty

Niektórym słowa „hip-hop” i „rap” kojarzą się częstokroć jedynie z wiecznie wystającym lub wysiadującym pod klatką „dressem”, dzierżącym w dłoni butelkę z piwem i rzucającym na prawo i lewo niewybrednymi komentarzami świadczącymi o „bogactwie” zasobie jego słownictwa... Niektórym przy wypowiedaniu wyrazu „koncert” staje przed oczami chór wyśpiewujący kanony, solista interpretujący na nowo wielokrotnie słyszany już utwór, orkiestra prezentująca kompozycje najznamienitszych twórców...

Organizatorzy kwietniowego koncertu w Sali Kameralnej Amfiteatru im. Czesława Miłosza w Olsztynie wyszli tym stereotypom naprzeciw. Tym razem na scenie nie pojawiła się kobieta w wieczorowej sukni, ani nawet mężczyzna w garniturze i wypolerowanych lakierkach. Luźnym, tanecznym krokiem wkroczył na nią chłopak w obwisłych dżinsowych spodniach, T-shircie, trampkach i czapeczce z daszkiem. Niemiecki artysta Christian Weirich – lepiej znany jako Doppel-U – pokazał zgromadzonej publiczności,

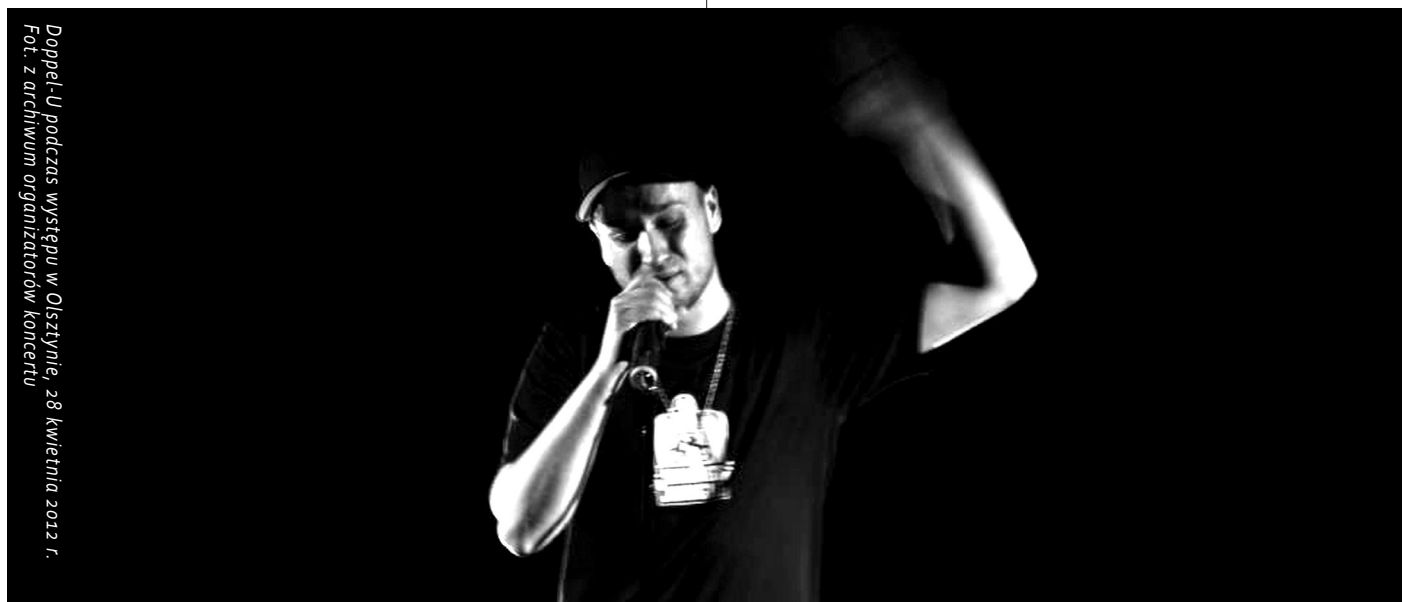
Małgorzata Zegler

Doppel-U w Olsztynie

w y d a r z e n i e

że klasyczne dzieła nie muszą wiać nudą, a rapować da się wszystko – nawet (a może przede wszystkim!) mające już przeszło dwięście lat, zdawałoby się archaiczne, liryki Goethego czy Schillera.

Oprócz klasyków pojawiły się także autorskie teksty Doppel-U, które dla niejednego słuchacza stały się okazją do chwili refleksji. Wersy Christiana są bowiem wnioskami wyciągniętymi z bacznej obserwacji świata. Przemyslenia odnośnie zagubienia w wielkich miastach czy pożerania ostatnich szarych komórek w mózгах młodych ludzi przez gry komputerowe to tylko niektóre z poruszonych tematów. Niestraszne okazały się nawet bariery językowe i wraz z kolejnymi utworami publiczności wciąż przybywało. Na końcu spore grono mogło więc spróbować swoich rapersko-językowych sił, rytmicznie recytując oryginalną wersję *Króla Olch*. Nikt nie okazywał żadnego znudzenia czy niezadowolenia, choćby ostentacyjnie wychodząc, czy szeroko ziewając. Należy więc stwierdzić, że rapowy koncert zalicza się do udanych przedsięwzięć!



Doppel-U podczas występu w Olsztynie, 28 kwietnia 2012 r.
Fot. z archiwum organizatorów koncertu

Waldemar Tychek

Archiwum Y

Ciemna scena. Odgłosy pożaru, przebijający się głos: „Ratunku! Ratunku!”. Głos słabnie, słysząc trzaskający ogień. Muzyka. Rozjaśnienie. Widać zagracony pokój (stosy akt, papierzysk, książek na podłodze), zapelnione regały. Na środku długi stół. Totalny bałagan. Muzyka cichnie. Słysząc pukanie. Z boku sceny otwierają się drzwi.

TOM – Hellouu! Dzień dobry!

PAMELA (między regałami) – Wchodź, wchodź! Już idę. Położ na stole...

TOM (chrząka) – Yhymn.

PAMELA – A ty coś za jeden?

TOM – Koloratko... Tom Koloratko.

PAMELA – Zamawiałam pizzę, a nie księdza!

TOM – Ale ja nie jestem żadnym duchownym. Zostałem tu skierowany do pomocy.

PAMELA – Tak? (wyciąga brzoń) W tył zwrot! Ręce w bok! Głowa w dół!

TOM – Gdzie? Między kolana?

PAMELA – Może być. Kto cię tu przysłał?

TOM – Nnno... nie pamiętam. Ja nie mam pamięci do nazwisk. Jakiś Brown... chyba James Brown.

PAMELA – U nas w wydziale nie ma żadnego Browna! Może Black?

TOM – Tak jest! Black!

PAMELA – Black? A jak wyglądał?

TOM – Ja ... nie mam pamięci do wyglądnów.

PAMELA – Czarny?

TOM – O tak, tak... czarny! Nawet bardzo! Wydaje mi się, że to chyba nawet murzyn był.

PAMELA – Dooobrze. Mówisz, że cię tu przysłał?

TOM – Tak. Mógłbym się już wyprostować?

PAMELA – A jak cię do mnie wysyłał, to co mówił? „Słuchaj, chłopcze...”?

TOM – Niece... Dzieweczko.

PAMELA – Co, dziewczeczko?

TOM – „Słuchaj dziewczeczko...” mówił

PAMELA – I co dalej?

TOM – „Słuchaj dziewczeczko – powiedział – wszyscy mają cię tu dość. Idziesz na dół, do panny Lovelas – Archiwum Y”.

PAMELA – Tak jest! To on! Stary piernik Black! Możesz się wyprostować. I jeszcze coś mówić?

TOM – Powiedział, że jak mnie pani, panno Lovelas, nie wyprostuje, to już mnie nikt nie wyprostuje i on czarno widzi.

PAMELA – Black zawsze czarno widzi, taki jego los. Ale komuś musiało nieźle podpaść, Koloratka, że ciebie tu do mnie podrzucili.

TOM – Koloratko... Tom Koloratko.

PAMELA – Dobrze, słodziutki, a co takiego nabroiłeś?

TOM – Eee, nic takiego. Jak była ta wielka obława na handlarzy banderolami akcyzowymi, to kazali mi wejść na drzewo i dać znać, jak dojdzie do transakcji.

PAMELA – No i co?

TOM – Siedziałem na tym drzewie i siedziałem... Ale zimno było takie, że jak już przyszło co do czego, to takiej czkawki dostałem, że zamiast udawać puchacza, tylko borsuk mi wychodził.

PAMELA – A, to ty jesteś ten słynny doktor! Ty wiesz, ile budżet przez ciebie stracił?

TOM – Wiem. Siedem miliardów sto dwadzieścia trzy miliony osiemset trzysta i pół tysiąca.

PAMELA – Dobrze, Koloratka...

TOM – Koloratko... Tom Koloratko.

PAMELA – Milcz, maleńki, jak do mnie mówisz! Widzisz te papiery?

TOM – Widzę. Ooooo... ale tego dużo!

PAMELA – A wiesz, co tam w tych teczkach jest?

TOM – Wszystkie niewyjaśnione i zagadkowe sprawy, jakimi wydział się zajmuje?

PAMELA – Bardzo ładnie, Koloratka. Tu, w Archiwum Y, są wszystkie sprawy, bo nikt ich w wydziale nie potrafi rozwiązać.

TOM – Jak to „wszystkie”?

PAMELA – Wszystkie, Koloratka!

TOM – Koloratko... Tom Koloratko. Ale, panno Lovelas... jak to wszystkie? To znaczy, że wydział żadnych spraw samodzielnie nie rozwiązuje?

PAMELA – Jak ty mi się zaczynasz podobać, Koloratka! Chodź tu, maleńki, do mnie szybcutko...

TOM – Panno Lovelas! Ja bardzo panią proszę! Proszę mnie nie gigać! Właśnie Black przysłał mnie tu z ostatnią sprawą... bardzo podobno zagadkową.

PAMELA – Ech ty, buziaczku, ty... A o co chodzi?

TOM – Tu mam... o! (wyciąga kartkę) Właściciel sklepu obuwniczego zadzwonił do nas, że wybuchł u niego pożar, a on został przez płomień uwięziony na zapleczu. W trakcie rozmowy z dyżurnym stracił przytomność, ale zdążył jeszcze podać nam adres, więc gdy nasza ekipa przybyła, to zastała go jeszcze żywego...

PAMELA – No i co?



TO CHOROBA
RODZAJ
HIPNOZY.

CHCE
POZOSTAWAC
PO PANI
UROKIEM.

TOM – No i nasz agent zdjął słuchawkę z widełek i wezwał pogotowie. Zachował się bardzo profesjonalnie, prawda, panno Lovelas?

PAMELA – Taa... i co?

TOM – Noo... i agenci nie znaleźli żadnych śladów!

PAMELA – Więc jaki wniosek, Koloratka?

TOM – Koloratko, panno Lovelas. Wniosek jest jeden – nastąpił samozapłon. Ale... ale przecież instalacja była w porządku... Wiem! Możemy mieć tu do czynienia z jakimś zagniewanym duchem, prawda, panno Lovelas? Właściciel mówi podobno, że widział samowolnie fruwające po sklepie buty...

PAMELA – Ach, ty, misiaczku mój... jak ja zaczynam uwielbiać tę twoją niewinną poczciwość w oczach.... szybcitko tu do mnie w podskokach hyc, hyc!

TOM – Ale o co pani chodzi?

PAMELA – Nieważne, maleńki... A wracając do sprawy, czy ktoś zauważył, że człowiek, który stracił przytomność, nie mógłby odłożyć słuchawki na widełki?

TOM – O, matko! Panno Lovelas, jak ja panią podziwiam! Nikt na to nie zwrócił uwagi, a przecież to jasne i logiczne! On musiał przedtem wysoko ten swój sklep ubezpieczyć, prawda?

PAMELA – No widzisz, Koloratka, jakie to wszystko proste! A teraz hyc, hyc tu do mnie...

TOM – No co też pani!?! Ja nie chcę! Przecież ja pani nawet nie kocham, panno Lovelas!

PAMELA – A kto tu, prosiaczku, do cholery, mówi o miłości!?

Energicznie przygarnia Toma do siebie. Gasną światła...?

Galeria Bałakarz

Galeria Bałakarz powstała ponad dwadzieścia lat temu w Warmińsko-Mazurskiej Bibliotece Pedagogicznej im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego w Olsztynie (ul. Natalii Żarskiej 2). W Bałakarzu prezentowane są przede wszystkim osiągnięcia artystyczne nauczycieli, ich pozazawodowe pasje i zainteresowania. Swoje prace pokazują tutaj także twórcy nie zawsze związani ze środowiskiem oświatowym, nie tylko artyści amatorzy, ale również znani poza środowiskiem regionalnym – w Polsce i za granicą. Od momentu powstania galerii odbyło się w niej około 150 wystaw, spośród których większość to ekspozycje indywidualne (malarstwo, rzeźba, haft, tkactwo, grafika, fotografia).

Na przestrzeni lat swoje prace w galerii Bałakarz prezentowali m.in.: Jadwiga Bardyszewska, Iwona Bolińska-Walendzik, Tamara Bołdak-Janowska, Krystyna Chromy, Krystyna Ciszkiewicz, Eugenia Dudzik, Arkadiusz Diczek, Józef Jabłoński, Angela Keisermayer, Teresa i Jarosław Korzeniewscy, Danuta Krajewska, Eugeniusz Kwiatkowski, Maria Łożek-Kwiatkowska, Hieronim Skurpski, Antonina Szulc, Grzegorz Vado Wadowski, Wiesław Wachowski, Aleksander Wołos, Magdalena Wyspiańska, Wiesław Żarczyński. W Bałakarzu zrealizowano również wiele interesujących ekspozycji zbiorowych, wśród których należy wymienić: „Art. Heart” (autorzy prac: Izabella Babkiewicz, Urszula Danuta Dudko, Eugenia Dudzik, Józef Mika, Kazimierz Nehring), „Śladami mistrzów...” (wystawa prac Izabelli Babkiewicz, Krystyny Ciszkiewicz, Barbary Kuryło, Elżbiety Stepczyńskiej), „Nasze inspiracje” (wystawa słuchaczy Warmińsko-Mazurskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku).

Ważnym wydarzeniem podsumowującym dwudziestoletnią działalność galerii była ekspozycja „Zjawiskowy obraz rzeczy. Ilkiewicz. Mączkowski. Samulowski. Skurpski. Smerek. Stefanów na XX-lecie Galerii Bałakarz”. Na wystawie znalazły się obrazy niezujących malarzy współczesnych, biografiami i twórczością związanych z Olsztynem. Prace, reprezentujące różne okresy działalności artystów, pochodziły ze zbiorów Biura Wystaw Artystycznych, Muzeum Warmii i Mazur, Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” oraz prywatnej kolekcji Andrzeja i Anny Samulowskich. Kuratorem wystawy była Krystyna Kozięło-Poklewska.

Szczególnym cyklem ekspozycji pokazywanych raz w roku w Bałakarzu jest „Sztuka. Własność prywatna”. W ramach tego cyklu W-MBP zaproponowała miastu wystawy, które za każdym razem są dużą atrakcją, ponieważ prezentują prywatne kolekcje znanych w regionie osób. Cykl ten w 2010 roku otworzyła kolekcja obrazów, której właścicielami są znani olsztyńscy animatorzy kultury Elżbieta i Andrzej Fabisiakowie. Niepowtarzalny nastrój zaprezentowanej w Bałakarzu domowej galerii „tworzyły dzieła, od energetyzujących



W macierzyńskim kręgu, Hieronim Skurpski, 2002 r.
Fotografie z archiwum galerii.

Ewy Plichty-Lubienieckiej, szalonych fantasmagorii Joanny Milewicz, poetyckich, z kluczem Miry Smerek-Bieleckiej i Jurka Bieleckiego, surowych w prostocie Janka Pruskiego, do rysunków i obrazów Hieronima Skurpskiego”. W 2011 roku w ramach cyklu swoją prywatną kolekcję zaprezentowała historyk sztuki oraz laureatka Nagrody Artystycznej im. Hieronima Skurpskiego, Krystyna Kozięło-Poklewska, która bardzo aktywnie współtworzy kulturę regionu oraz jego historię. Odwiedzający wystawę mogli podziwiać dzieła Hieronima Skurpskiego, Andrzeja Samulowskiego, Marii Delikat, Juliana Dadleza i innych. W marcu tego roku w galerii Bałakarz odbyła się trzecia wystawa z cyklu „Sztuka. Własność prywatna”. Wówczas gromadzoną od dwudziestu lat kolekcję pokazali Irena i Roman Łesiów – nauczycielka muzyki oraz lekarz. Właściciele kolekcji zaprezentowali zbiór wielu oryginalnych prac artystów współczesnych, twórców związanych z Olsztynem – Mirosławy i Jerzego Bieleckich, Elżbiety Bonieckiej-Milowicz, Aleksandra Wołosa oraz autorów reprezentujących inne środowiska artystyczne – Michała Smółki, Romana Nowotarskiego, Włodzimierza Gołuba, Czesława Romanowskiego. W kolekcji tej

znalazły się również prace Nikifora Krynickiego, jednego z najwybitniejszych prymitywistów. Podczas wernisaży wszystkich wystaw właściciele kolekcji w niezwykle interesujący sposób opowiadali o etapach powstawania domowej galerii, o obrazach, autorach i zdarzeniach związanych z gromadzeniem prac.

Galeria Bakałarz jest także, zgodnie ze specyfiką biblioteki, w której została utworzona, miejscem wspierania pracy dydaktycznej nauczycieli. Każdego roku są w Bakałarzu eksponowane autorskie wystawy edukacyjne, będące elementami projektów popularyzujących życie i dzieło słynnych polskich twórców. W galerii odbywają się zajęcia edukacyjne dla młodzieży prowadzone w oparciu o tego rodzaju wystawy. W 2007 roku została przygotowana ekspozycja „»Wielka scena otworem, przestrzeń wokół ogromna« – teatralne, plastyczne i literackie wizje Stanisława Wyspiańskiego”, ukazująca wizję teatru totalnego. Podkreślając rolę Wyspiańskiego w reformowaniu sceny polskiej i europejskiej, autorki wystawy starały się przełamać stereotyp myślenia młodzieży o nim jako przede wszystkim o autorze *Wesela*. W 2008 roku w Bakałarzu została zaprezentowana wystawa „Na przerywistej linii egzystencji” – Herbertowska lekcja poezji”. Ekspozycja ukazywała bardzo silnie obecną w liryce Herberta świadomość kruchości i „przerywistości” trwania – trwania człowieka przede wszystkim, ale również i tego, co ze światem ludzkim nierozłącznie związane – przedmiotów i dzieł sztuki. W Roku Czesława Miłosza w Bakałarzu była eksponowana wystawa „Spotkania na Ziemi Ulro” prezentująca fragmenty rozważań poety i polemiki toczonej w całym jego dziele przeciw nicości i w obronie sensu istnienia.

Od wielu lat w galerii Bakałarz pokazują swój dorobek szkoły i inne placówki oświatowe, które mogą poszczycić się znaczącymi osiągnięciami wychowanków i nauczycieli. W ramach cyklu „Szkoły twórcze” powstały m.in. ekspozycje: „Szkoła z dumką” przygotowana przez Zespół Szkół z Ukraińskim Językiem Nauczania w Górowie Iławeckim, „Szkoła bez niepowodzeń” autorstwa Zespołu Placówek Specjalnych przy Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu Dziecięcym w Olsztynie, „Niepełnosprawność – przekraczanie tajemnic ludzkich niemożności” opracowana przez Zespół Placówek Edukacyjnych w Olsztynie.

Bakałarz pełni zatem funkcje wielorakie – jest nie tylko galerią artystyczną, ale także ośrodkiem wymiany myśli humanistycznej oraz miejscem wspierania pracy dydaktycznej nauczycieli.

Opracowała Sylwia Sawicka



Sztuka. Własność prywatna.
Kolekcja Elżbiety i Andrzeja Fabisiaków, 2010 r.



Sztuka. Własność prywatna.
Kolekcja Krystyny Kozięło-Poklewskiej, 2011 r.



Na przerywistej linii egzystencji, 2008 r.

Katarzyna Enerlich

Zaklinanie nieobyczajowe

Minipowieść w odcinkach (część 7)

Odsunęłam się na brzeg łóżka. Usiadłam, już nie martwiłam się swoimi krągłościami. Żona - kosmetyczka na pewno miała ich mniej i dlatego połaścił się na mnie. Tak pomyślałam. Czułam się, jakbym była zdradzona po raz drugi. Po co ja pojechałam w tę cholerną podróż, której powrót był jakby z góry przez moje przeznaczenie zaplanowany! Znów mi się w życiu zakręciło jak w betoniarce, bo po prostu zakochałam się w tym facecie, nie mogłam już wyrzucić go serca, a tymczasem w jego domu czekała na niego żona! Tak potępiałam Gabriellę, a teraz sama...

- Marek, to co mam teraz zrobić? – zapytałam bezradnie. Nie chciałam go tracić, ale cała drżałam na myśl o tym, co będzie dalej.

- Joanno, jesteście dorośli. Czy nie moglibyśmy się po prostu spotykać od czasu do czasu, bez zobowiązań?

- Co ty mi proponujesz? Mam być twoją kochanką?!

- Jesteś mi bardzo bliska. Tamte wspomnienia ożyły, czuję, jakbyś całe życie należała do mnie. Pozwól mi z sobą być, po prostu. Nie mogę całe życie pokutować za to, że podjąłem decyzję i ożeniłem się z kobietą, z którą teraz tylko mieszkam.

- Ale, Marek, na pewno wiele was łączy, to nie jest tak, że wy tylko razem mieszkacie.

- Jasne, że łączy. Jemy razem śniadania, czasem kolację, chodzimy do łóżka. Ale to nie jest żadna wielka miłość.

To zabolalo mnie najbardziej, bo zdałam sobie sprawę, że wyjdzie ode mnie, wróci do domu i położy się obok kobiety, której kiedyś przysięgał wierność.

- Bądźmy razem, Joanno, samotni w tym wielkim mieście... – poprosił.

- Daj mi czas, muszę ochłonąć – powiedziałam i wyszłam do łazienki.

Było mi wstyd, bo nieświadomie stałam się nagle tą trzecią. Chciałam zapomnieć i... nie mogłam. Nie mogłam po prostu przestać go kochać. Byłam wściekła, że ta kosmetyczka zabrała mi mego Marka, że nawet nie spytała. Marek był najpierw mój, mój. To on był moim pierwszym mężczyzną, a ja jego pierwszą kobietą! To ja miałam większe do niego prawo! Nie mam zamiaru z niego zrezygnować!

I nie wiem, skąd nagle we mnie narodziła się ta zaborczość, nieznana mi wcześniej. Te chwile spędzone z Markiem odarły mnie nagle z moich życiowych ograniczeń, z mojej pozy, którą trzymałam przez tyle lat – poprawnej żony, wyrozumiałej nauczycielki, pracowitej redaktorki. Osoby, na którą nikt złego słowa nie powiedział, o której nikt nie plotkował, bo nie miał powodów. Która zawsze zachowywała się tak, jak wypadało, jak tego oczekiwał Antoni, a potem reszta świata. Nad którą użalali się ci, którzy znali moją historię i współczuli mi zdrady, jaką obdarzył mnie mój mąż. Pomyślałam nagle, że ja też mam jakieś prawo do szczęścia, że mogę być z mężczyzną, którego pokochałam. Wszystko mi się przez tę moją podróż, a właściwie powrót

z niej, pozmieniało, pobałagało, inaczej spozrzałam na Gabriellę, na mego męża i na samą siebie, nową zupełnie.

Nigdy wcześniej nie dopadła mnie taka metamorfoza gwałtowna i odwracająca cały system wartości. Czułam się jak w nowym życiu, miłość do Marka wręcz we mnie pulsowała, nie potrafiłam jej zakończyć ot tak, zwyczajnie. Jak ścieg na drutach.

Siedziałam w oknie i na szybie rozplaszczałam moje myśli. Zdecydowałam – zostanę tą trzecią. Z miłości.

Mijał miesiąc mojego mieszkania w Warszawie. Marek był u mnie niemal codziennie. Kochaliśmy się przeważnie szybko, do dąsdy i zegnaliśmy w progę. Wracał do żony. Mówił, że z nią również sypia. Przekonywał, że robi to z przymusu, dla nas, żeby żona się nie domyśliła, że w życiu Marka pojawiła się ta druga. Nie mogłam pogodzić się, że Marek dotyka jeszcze ją, wypchnioną i zadbaną, że budzi się przy niej, nie przy mnie. To wszystko bolało, ale nie byłam już w stanie zatrzymać moich uczuć. Stęskniona miłości, pogodziłam się jednak z tym dla niego.

Mój szef zaproponował mi kierownictwo w warszawskiej filii. Zgodziłam się, bo chciałam być bliżej Marka. Swoje dawne mieszkanie w miasteczku wynajęłam, kot zamieszkał na dobre u sąsiadki, a ja coraz bardziej oswajałam się z wielkim miastem i jego urokami. Największym była anonimowość. Mogłam iść z Markiem do kina czy restauracji, mógł po mnie przyjeżdżać do pracy, a ja nie musiałam się obawiać małomiasteczkowych plotek. I tak mijały miesiące, nadeszła wigilia i prezenty, w pośpiechu wręczane sobie wzajemnie, bo Marek śpieszył do żony.

- Joanno, wiesz dobrze, że zostałam z tobą, ale zaraz jedziemy do teściów.

- Marek, zaczynam mieć już dość tej sytuacji, wiesz? I tej twojej kosmetyczki!

- Ona ma na imię Mariola!

- Wiem, ale nie mam zamiaru tak o niej mówić.

- Joanno, nie mogę się z nią rozwieść. Nie teraz. Wytrzymaj jeszcze trochę, proszę cię.

- Jak długo?

- Nie wiem, może rok. Joanno, proszę, nie zostawiaj mnie, jesteś dla mnie jak powietrze. Kocham cię...

Wreszcie to powiedział. Płakałam ze szczęścia.

- Ja też cię kocham i pamiętaj, że zawsze będziesz mój. A teraz idź do tej swojej Marioli. Niech myśli, że należysz tylko do niej.

- Przyjdę zaraz po świętach.

- Będę czekała... Zostałam w Warszawie specjalnie dla ciebie.

- Wiem, jesteś wspaniała, dziękuję ci.

Sylwestra też spędził z Mariolą, na balu w Jabłonnej, wysyłając



Hurtownia książek. TVP.
Rys. Jarosław Gach

mi tylko o północy sms. Samotnie czekałam na niego, pijąc szampa, najpierw jednego, potem drugiego. Gadałam sama do siebie, do lustra, że jestem taka głupia, że świadomie zgodziłam się na bycie tą trzecią. Aż zasnęłam na skopanej pościeli, na której były jeszcze ślady naszej miłości. Specjalnie nie zmieniałam poszwy ani prześcieradła, bo wyobrażałam sobie, że Marek jest ze mną cały czas, tylko na chwilę wyjechał, w delegację albo w odwiedziny do chorej ciotki. Spałam na jego poduszce, wciągając głęboko jego ledwo wyczuwalny zapach, odcisnięty w zagłębieniu. Czułam się jak obłąkana, jak ćma lecąca do płomienia. Nie mogłam inaczej.

Sucho przekazaną przez lekarza wiadomość o mojej ciąży przyjąłam nadzwyczaj spokojnie. W sumie jest się z czego cieszyć. Trzydzieści osiem lat, no, prawie już dziewięć, to najwyższa pora na rodzenie dzieci. Tak pocieszałam się, bo przecież tyle lat pragnęłam dziecka, było to największe moje marzenie. I teraz spełniło się, mimo, iż ojcem nie był mój były już mąż, a mężczyzna, którego kochałam po stokroć bardziej, dla którego mogłam zrobić naprawdę wiele.

Przyszedł do mnie wieczorem, a ja, lekko wystraszona, powiedziałam, że wkrótce będziemy mieli dziecko.

- Jak to możliwe?

- Nie wiesz, jak powstają dzieci?

- No wiem, ale, Joanno, co teraz będzie? – chyba zaczęło do niego docierać.

- Nic, po prostu je urodzę. To moje marzenie.

Przez dziewięć miesięcy kwitł we mnie maleńki pęk, zmieniając moją sylwetkę, wpływając na nastroje. Nie spotykaliśmy się z Markiem tak często, jak kiedyś, zwłaszcza pod koniec ciąży. Nie zastanawiałam się, co będzie dalej z nami. Cieszyłam się, że będę miała dziecko z mężczyzną, którego tak kochałam. To było najważniejsze. Któregoś dnia, dwa tygodnie przed planowanym terminem porodu, pojechaliliśmy na Targówek zrobić zakupy. Marek chętnie przystał na wizyty w sklepach dziecięcych, hojnie łożąc na ubranka, łódeczko, wanienkę i mebelki do pokoiku dla naszego synka. Bo lekarz już nas oswoił z płcią dziecka, a my nadaliśmy mu już imię Franciszek, po ojcu Marka. Gdy kupowałam fantastyczne body w pomarańczowe słoniki, zauważyłam, że przez szybę przygląda mi się jakaś kobieta. O kilka lat młodsza ode mnie, atrakcyjna, po prostu piękna. Marek testował własnie resory w wózkach, uparł się, że kupi taki za cztery tysiące złotych, mówiąc, że jego Franio nie będzie jeździł w byle czym. Powstrzymałam go, ale był uparty.

- To mój pierwszy syn – mówił.

Przyglądająca się nam kobieta weszła do sklepu i skierowała swoje kroki w kierunku Marka.

- Marek, co ty tu robisz? – zadała proste pytanie, bo niby jakie miała zadać.

Obejrzał się do tyłu, wciąż naciskając na wózek. Nie przestał nawet wtedy, gdy cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Mariola... O Boże... – jęknął.

cdn.

Waldemar Tychek

Nie bój się, to tylko taka mała, twoja osobista ciemność...

- Czy wiesz, co znajduje się za tymi drzwiami?
- Oczywiście. Korytarz, po lewej drzwi do mieszkania sąsiadów, a dalej schody.
- Oczywiście. Tylko że to wszystko pojawi się dopiero, gdy otworzysz drzwi i twoim oczom ukaże się ten widok.
- Ale teraz? Gdy drzwi są zamknięte? Skąd wiesz, co się za nimi znajduje? Teraz. W tej chwili.

Tę zabawę to chyba jednak wymyślił Stephen King. Któregoś wieczora, gdy przebywał w gronie przyjaciół, przygasił światła i poprosił wszystkich siedzących przy stole o zamknięcie oczu i skupienie. Następnie powtórzył kilka słów, zakłęcz, jakie zazwyczaj towarzyszą naprędce zwołanym seansom i gdy już wyczuł, że wyobraźnia siedzących w kręgu przyjaciół zaczyna pracować, włożył w dłonie najbliższej siedzącej osoby obrane ze skórki winogrona i szepnął jej do ucha: „Oto czy truposza”.

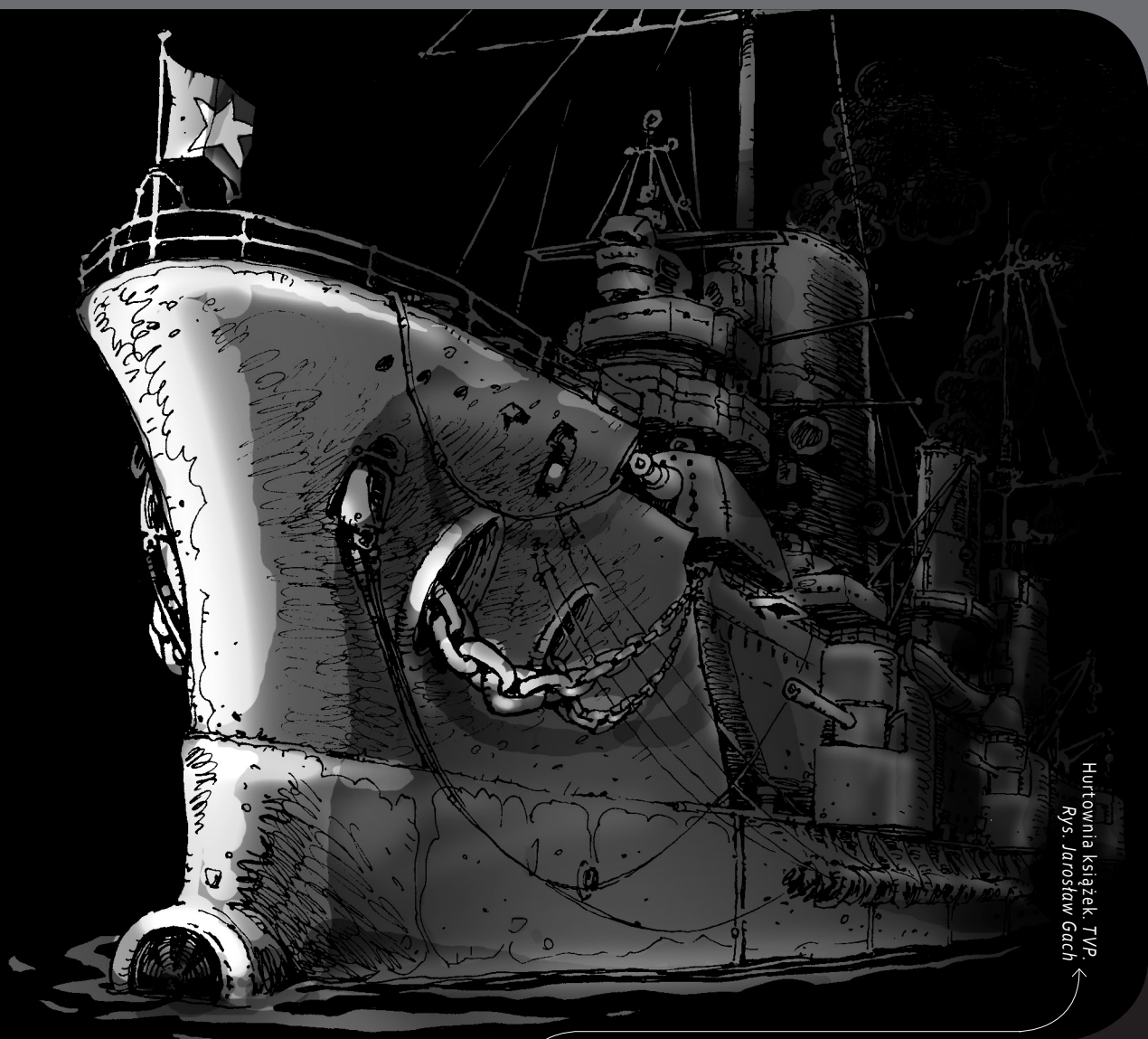
Scena ta, w sposób dość pogładowy, ustala relacje zachodzące w procesie recepcji horroru. Jest autor, jest odbiorca i element świata przedstawionego, który stanowi narzędzie wzbudzenia określonych emocji. Stanowi to wynik pewnej zdolności człowieka do pobudzenia w sobie procesu, który polega na empatycznym współodczuwaniu i naśladowaniu emocjonalnego zachowania bohatera opowieści. Potrafimy sobie wyobrazić, co mogłaby czuć osoba odbierająca owe winogrona. I nie ma znaczenia w tym przypadku, że King posłużył się akurat tymi owocami. To mogłoby być cokolwiek innego. Ważne są głównie konotacje, jakie przy tej okazji wywołał, reminiscencje lub nieświadomione lęki, które mogły wzbudzić uczucie grozy lub obrzydzenia.

Sam horror jest zjawiskiem wymykającym się sztywnym ramom jednoznaczności, ponieważ odnosi się zarówno do form literackich jak i filmowych. W kontekście literaturoznawstwa horror to odmiana fantastyki sytuującą motyw grozy (lęku, strachu) w centralnym punkcie swojej struktury. To znaczy, że jego inwariantem (cechą niezmienną) jest właśnie intencja wywołania ekstremalnych w swej wymowie emocji. Taki sam cel co prawda przyświeca filmowi, ale w obrębie gatunku filmowego horroru możemy wyróżnić jego odmiany w zależności od motywów (np. film satanistyczny, apokaliptyczny, wampiryczny itp.). Horror zawsze odwołuje się do naszej wyobraźni, przywołując te elementy rzeczywistości, które bazują na naszym atawistycznym lęku.

I o ile suma naszych lęków jest nam przypisana częstokroć bez naszego udziału, o tyle strach wywołany przez desygnat naszego lęku (np. desygnatem naszego lęku przed pająkami – arachnofobia – byłby pająk) posiada walor już terapeutyczny ponieważ, „uprzedmiotowia” nasz lęk, co pozwala – w przypadku, gdybyśmy go naprawdę przeżywali – uporać się z nim. Jednak taki układ zakłada sytuację, że nie wszystkie nasze lęki potrafimy nazwać, one tkwią uśpione pod pokładami naszej świadomości i dopiero lektura powieści pozwala nam na ich antycypację, a także na antycypację zła, gdzieś tam podobno przyczajonego w zakamarkach duszy każdego człowieka.

Według Anity Has-Tokarz² – biorąc pod uwagę kryterium pochodzenia zła – powieść grozy można podzielić na dwie zasadnicze grupy: te, w których przedstawiane zło pochodzi z zewnątrz, oraz te, w których koszmar jest wynikiem woli człowieka. O ile zatem nieprzymuszona wola czynienia zła otwiera przed czytelnikiem mapę ludzkich niegodziwości, o tyle zło pochodzące z zewnątrz – w oczach czytelnika – rozgrzesza bohatera. Łatwiej jest się z nim utożsamić czytelnikowi. Ponadto „zewnętrzne zło”, jako niezależne od człowieka, jest sprawą przeznaczenia, potencjalną groźbą mogącą dotknąć każdego. Z kolei olbrzymia popularność powieści Kinga, który w większości swoich dzieł akcentuje rolę mrocznej natury człowieka jako źródła grozy, wzięła się stąd, że nadał ułomnościom ludzkim (pysze, szaleństwu, nałogom itp.) walor uniwersalny. Jakby chciał powiedzieć, że to wszystko tkwi w każdym człowieku. Nawet marzenia mogą mieć swoją destrukcyjną moc (*Sklepik z marzeniami*). Przedmioty, które nas otaczają, nasze kochane zwierzęta, a także powszechna rutyna codziennych czynności mogą stać się w każdej chwili źródłem grozy. I tak naprawdę „nie wszystkie rzeczy w ludzkim umyśle muszą być tak do końca martwe”. Horror bowiem rodzi się nie tyle w ciemności, opuszczonym domu,





Hurtownia książek: TVP.
Rys: Jarosław Gach

postaciach chyłkiem umykających do piwnic, ile w nas samych. U podstaw horroru leży pewna archetypiczna dwoistość, paradygmat opozycji: dobro-zło, człowiek-bestia, piękno-potworność, itd. Ten paradygmat jest zresztą charakterystyczny dla całej literatury popularnej, gdzie zarówno postaci i rekwizyty, jak i sytuacje są bardzo wyraziście nakreślone. Taki schemat służy rozpoznaniu elementów świata przedstawionego oraz identyfikacji czytelnika z głównym bohaterem.

Budowa nastroju literatury grozy polega w głównej mierze na konfrontacji dwóch światów: rzeczywistości i świata irracjonalnego. Przy czym współczesny horror unika tworzenia nowej rzeczywistości, przenosząc pierwiastki fantastyczne do realnego świata. To jest zresztą podstawowa, konstytutywna technika, dzięki której możemy docenić kunszt pisarski autora. Technika ta polega na niejawnym „przemycaniu” do struktury realnego świata elementów fantastyki grozy. Proces ten powinien przebiegać w sposób niezauważalny, a te

wtręty „przyklejać się” niejako do rzeczywistości, by w stosownej chwili wybuchnąć z mocą bomby i porazić czytelnika. Oczywiście istnieje pewne zagrożenie, że odbiorca podczas lektury nie zdoła zachować odpowiedniego dystansu i fikcyjne atrybuty świata przedstawionego zacznie identyfikować z realną rzeczywistością. Co prawda takie fakty zbiorowej hysterii miały miejsce jak dotąd jedynie w przypadku filmu (*Egzorcysta* Williama Friedkina), ale kto zaręczy, że nic takiego nie zdarzy się wśród czytelników? Że ewokacja strachu w literaturze grozy, choć oparta na powtarzalnych schematach, przeniesie środek ciężkości z eksponowania lęków wspólnych dla całej ludzkości w sferę głęboko skrywanych lub nieuświadomionych lęków prywatnych? Wszak „nie wszystkie rzeczy w ludzkim umyśle muszą być tak do końca martwe”. Wystarczy tylko, że otworzysz drzwi...

¹ A. Has-Tokarz, *Horror według Stephena Kinga i Grahama Mastertona. Studium o poetyce współczesnej powieści grozy*, [w:] *Literatura i kultura popularna*, t. X, red. T. Żabski, Wrocław 2002, s. 137.

GRÜNEWALD

Illum oportet crescere, me autem minui
Św. Jan Ewangelista

Halle, 31 sierpnia 1527

Ja, Mathis Gothardt Nithardt, syn kupca i handlarza zbożem, urodzony w Würzburgu, roku Pańskiego 1480, w pełni sił umysłowych, świadomy podejmowanej czynności i bez jakiegokolwiek przymusu oświadczam, że do całości spadku powołuję Hansa von Saarbrüchen, któremu tym samym powierzam opiekę nad moim jedynym synem Endresem.

Czytam dalej –

Pozostawiam po sobie niewiele, tyle tylko, co zmieściłem w pięć skrzyń, które zostawił mi ojciec. Trochę ubrań, którymi dobroduszny Hans zarządzi podług własnej woli. Kilka farb i narzędzi, nieco już zniszczonych, ale zdatnych jeszcze do pracy, które być może przydadzą się komuś. Wola moja szczególnie zaś dotyczy się tych dwudziestu siedmiu kazań, które otrzymałem w zamian za moją wierną posługę. Pragnę, by syn mój przekazał je swemu synowi, a ten swojemu, aby słowo trwało na wieki. Rzecz to bowiem cenna i leżąca mi na sercu. Te i inne przyległości znalezione we skrzyniach proszę rozdysponować między wymienionych i potrzebujących; tak, aby nic nie poszło na zmarnowanie, a na chwałę Bożą.

Testament Grünewalda, malarza, który obok Dürera i Cranacha był, bez najmniejszej wątpliwości, największym przedstawicielem niemieckiego renesansu, to dokument bezcenny. Jest świadkiem swojej epoki, przyśpieszonego oddechu malarza. Raptem dwie strony, pożółkłe i nadpalone w prawym górnym rogu, spisane ręką niespełna pięćdziesięcioletniego mężczyzny, pismem nazbyt skromnie małym. Zupełnie jakby za wszelką cenę chciał pomieścić wszystko na tych dwóch kartkach formatu zbliżonego do dzisiejszych zeszytów szkolnych.

Dariusz Szymanowski

albo znikający punkt

I dalej –

Nigdy nie ośmielałem się mówić o sobie, a teraz czuję się w obowiązku, aby Endres wybaczył mi, gdy nadejdzie mój czas. Niewiele zostanie mu po mnie, żadnego majątku.

Potrzeba, mój synu, abyśmy stawali się coraz mniejsi. Stąd to wszystko i moje starania, skwapliwe zacieranie śladów. Prowadzenie ludzi do prawdy przez ból i cierpienie. Wszystko, co namalowałem, było jak światło ukryte w środku ciemnej Katedry. Wielu ludzi, mój Endresie, zawiodłem, jako że to, co robiłem, było pełne prostoty, nie wysyłałem się stworzyć nową szkołę, nie interesowała mnie sława ni zbytek. Bo widzisz, nie tylko skrajnie niegodziwą jest rzeczą wydawać się sprawiedliwym, nie będąc nim, ale szczytem obłudy jest udawać otwartość i samemu w to uwierzyć.

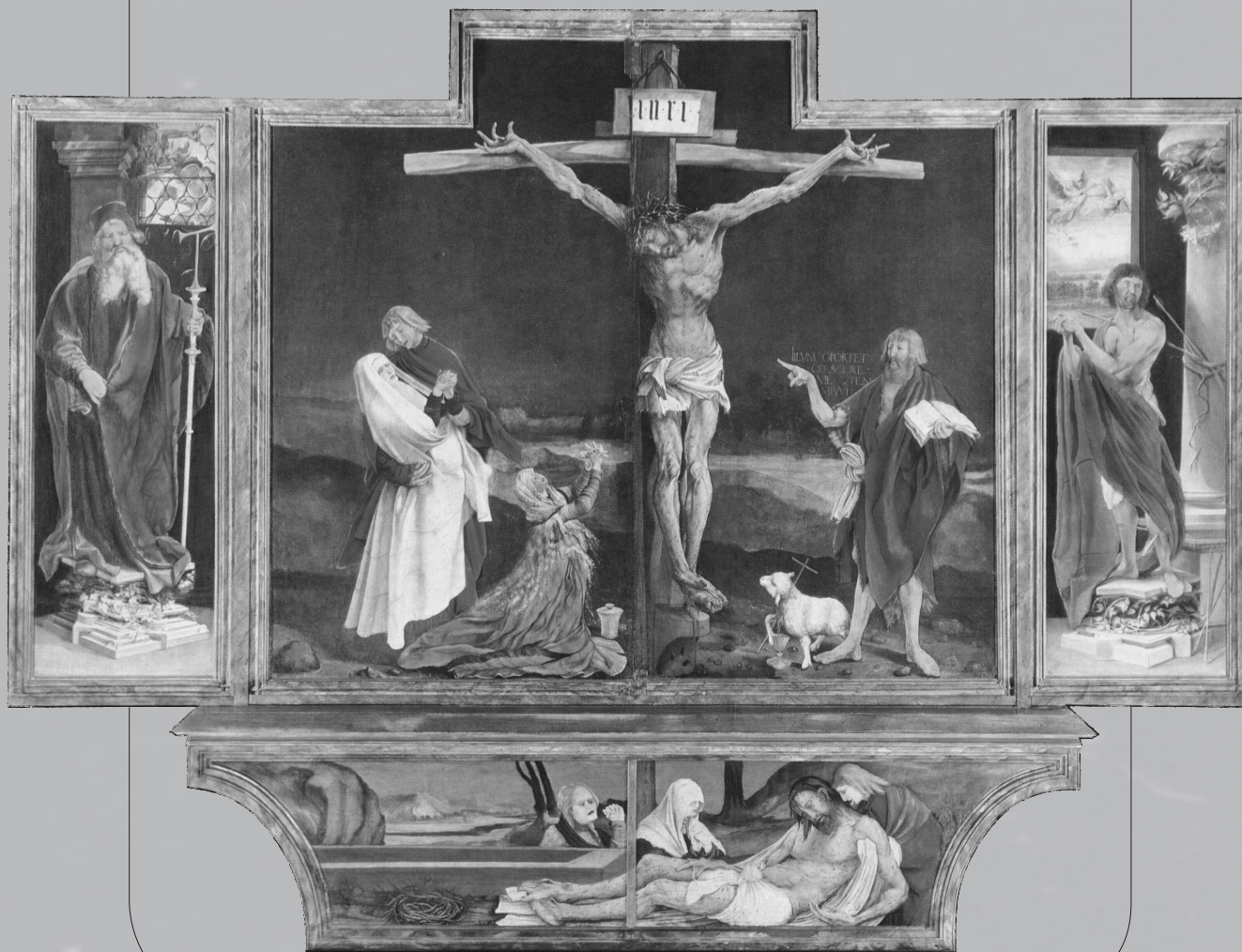
I jeszcze jeden fragment –

Moja wyobraźnia była wyobraźnią zmysłową. Wszystkiego doznać, wszystko usłyszeć i wszystko zobaczyć. Takie, jakim jest, nader często brzydkie, zupełnie zwyczajne. Nie godziła się ona z białą skórą Chrystusa, którą przemawiał do mnie Caravaggio. Nie potrzeba było zaprawdę wszystkich tortur, biczowania, aby stopy Jezusa przez 33 lata raniły kamienie, a jego twarz ogorzała wiatrem i spieczona była słońcem. Skąd więc w ludziach ta naiwność?

Nigdy nie budowałem, jak moi ówcześni, swych obrazów pod dyktando. Wrażliwy na ludzkie cierpienie, służyłem jedynie prawdzie. Nigdy żadnego człowieka nie przedstawiłem tak okropnie i brzydko – mówili. A przecież żaden człowiek nie przeżył nigdy takiego okropieństwa, jak on. Bliska mi była ludzka anatomia i słusność moja polegała na ukazaniu jej przemian. I jeśli miałem być barbarzyńcą w domu Ojca Mego, to tylko na jego wezwanie. Przeto błagam cię o wybaczenie, mój synu...

W tym miejscu tekst się urywa.

Jest Grünewald malarzem aż nazbyt skrytym. Wiemy o nim niewiele. Wspomina go Joachim von Sandrarta, siedemnastowieczny



niemiecki malarz, miedziorytnik, a przy tym historyk sztuki, autor dwutomowego dzieła *Teusche Akademie der edlen Bau-, Bild- und Malereikuenste*, pisząc o niejakim Matthiasie Grünewaldzie z Aschaffenburga. W żadnym jednak z oficjalnych dokumentów czy zapisków nie pojawia się ani jego imię ani nazwisko. Von Sandrarta odkrył przypadkiem zbieżność inicjałów – M.G.N. – na obrazach, które nosiły znamiona charakterystycznego stylu Grünewalda. Żmudne dochodzenie doprowadziło Joachima do Mathisa Gothardta Nithardta, który tworzył na przełomie piętnastego i szesnastego stulecia w niemieckim Aschaffenburgu. Tak – prawdopodobnie, bo pewności nie ma – brzmiało prawdziwe imię i nazwisko malarza.

Najśłynniejsze dzieło Grünewalda, *Ołtarz z Isenheim*, jest spadkobiercą dokonań starszego o trzydzieści lat Hieronima Boscha i zarazem prekursorem dwudziestowiecznego surrealizmu w wydaniu Salvadora Dali. Potwory z prawego skrzydła z widoku trzeciego, na którym malarz przedstawił scenę kuszenia Świętego Antoniego, noszą w sobie nie tylko tak charakterystyczną dla Grünewalda maistrię

kolorów, ale przede wszystkim niepokoją swą nierealnością i potwornością kształtów. Tak namalowany obraz musiał wzbudzać w wiernych autentyczny lęk i trwogę przed złem, uosobionym w ciałach hybryd – tych ptaków i smoków.

Grünewald, jak dowiadujemy się z jego testamentu, chciał za wszelką cenę pozostać anonimowy. Wiedział, że swym pędzlem nie może służyć jedynie swojej chwale. Jak „Dawni Mistrzowie”, zaciera więc ślady, sygnuje swe dzieła wiele mówiącym pseudonimem, pragnąc wywyższać głównego bohatera swoich obrazów.

Zaprawdę wielka to rzecz – świadomie pozbawić świat pamięci o sobie, o swoim istnieniu i za każdym razem znikać w gęstwinie bawarskiego lasu przed leniwym wzrokiem nieuważnych przechodniów.

Colmar, kwiecień 2012



Multiplex
2 godz.
2012

Supermarket
3 godz.
2012

Galeria
handlowa
3 godz.
2012

Butik
2 godz.
2012

Butik
2 godz.
2012

Fitness
2 godz.
2012

K-1 Karnet Kulturalny

Pub I
2 godz.
2012

Pub II
2 godz.
2012

Pub III
2 godz.
2012

Rezerwa
godz.
2012